

Akt 10: Interwencja Luny

4 kwietnia 1272

Fillydelphia, Śródmieście

5:40

– Wyłączyliście silnik? Szkoda marnować ropę...

– Już godzinę temu. Co widać?

– Wydaje mi się, że to osiemdziesiątka ósemka. Problem w tym, że jeśli tylko się wychylimy, to nas ściągnie. Mają nas jak na widelcu.

– Musimy wrócić do swoich, bo tam jest amunicja, paliwo...

– Tak i nasze dziewczyny! Wiem to – poirytował się Sir, co było bardzo rzadkim zjawiskiem. – Ale jak teraz się wychylimy, to już nie będzie komu wracać!

Zamilkli i czekali bezradnie dalej. Jeszcze wczoraj wydawało się, że łatwo będzie wrócić. Jednak przez cały dzień udawało się to jedynie niewielkim grupkom i to często pod ostrzałem, za cenę wysokich strat. Skoro oni musieli przeciskać się przez gęstą barierę kul, to co dopiero trzydziestotonowy czołg.

Mijały kolejne bezczynne godziny. Dowództwo Rejonu I na Śródmieściu nie miało pojęcia, jak skutecznie wykorzystać czołg i równocześnie nie zaryzykować jego straty. Kazali mu zatem oczekiwać w gotowości. Równocześnie zarządzono zmianę nazwy batalionu walczącego na Śródmieściu z „Pectoral” na „Żagiew”, na cześć poległej opiekunki powstania. To podwyższyło morale, ale wprowadziło trochę chaosu i tym bardziej utrudniło wykorzystanie czołgu.

Nie mieli zbytnej ochoty na przechadzki lub nawet obserwację okolicy. U wylotu pobliskiej ulicy na latarni powieszono zwłoki jakiejś sombryjskiej snajperki, która została ponoć

przyłapana na strzelaniu do dzieci. Nie sposób było zrozumieć, czemu akurat do nich, lecz niezależnie od tego, przerażało to jak ją ukarano.

Miała wyłupione i zalane cementem oczy. Całe ciało pokrywały martwe sińce i rany wycięte bagnetami. Rozdziawione chrapy zionęły czeluścią wybitych zębów i wyrwanego języka, który przybito gwoździem do tyłu czaszki. Do nogi przywiązano tabliczkę z dokładnym opisem zbrodni i kary.

Czołgiści mieli przynajmniej nadzieję, że jedynie sprofanowano zwłoki, a nie że snajperce zadano to wszystko... na żywcą. Nie próbowali wdawać się w polemikę z gniewem, który musiał zapłonąć na widok Sombryjki.

To nie był jedyny wisielec. Lecz ten wyróżniał się stopniem profanacji spośród zwykłych dezenterów lub knąbrnych jeńców, który spokojnie kiwali się na latarniach. Ponoć dyktator powstania zakazał wszelkich egzekucji, lecz czasami cywilom puszczały nerwy. A przynajmniej tak tłumaczyła się żandarmeria.

Kolejnym problemem były wszechobecne groby. Gdzie się nie spojrzało, to wszystkie klomby, skwery i podwórka były już zajęte przez drewniane pióra, urny i wszelkie inne nagrobki, z czasem coraz prostsze i bardziej prowizoryczne. Bardzo szybko skończyło się miejsce i materiały na mogiły zgodne z rytmem.

Czołgiści stracili wszelką ochotę, aby oddalać się od swojej maszyny. Tam po prostu nie było czego szukać.

Nagle Sir coś dostrzegł. Poderwał się i syknął na wszystkich. Wtedy do ich uszu dobiegła eksplozja nieco większa i bliższa, od dalekiej orki artylerii oraz inna od bliskiego pukania artylerii p-lot.

– Tam coś się dzieje! Załoga do wozu!

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wynudzeni improwizowani czołgiści czym prędzej powskakiwali do włazów i przygotowali się do akcji.

– Ktoś zaatakował stanowiska na drugim brzegu Kelpie – obwieścił dowódca – Odwrócił uwagę! To nasza szansa!

Wybudzony z drzemki silnik opornie zaryczał, a nie do końca sprawny czołg pokuśtykał do przodu, co chwilę szarpiąc i próbując się wyłączyć. Quietlane musiał mocno namachać się sprzęgłem, aby balansować na granicy jego sprawności.

Wychylili się zza osłony zburzonej kamienicy, a ich oczom ukazała się pełna panorama umocnień z zasiekami i stanowiskami cięższej broni.

– Podaję cel! Nieprzyjacielskie przeciwlotnicze, godzina trzynasta trzydzieści. Burzący!

– Jest burzący! – zameldował Kraswood

– Jest cel! – dodał

– Poszło!

Pocisk poleciał niemalże prosto w cel. Trafił ze cztery metry zbyt na lewo, ale i tak zrobiło to wystarczające wrażenie na obsłudze. Celowała właśnie w coś po swojej prawej, obracając działo bokiem i trochę rujnując swój kamuflaż. Kras trafił na tyle blisko, że odłamki kogoś trafiły, zaś fala uderzeniowa przewróciła połowę kanonierów, a u drugiej połowy wzbudziła popłoch. W efekcie wszyscy uciekli i wynieśli rannych.

– Popraw to. Oni mogą wrócić!

Drugi pocisk trafił już w cel i rozerwał Flaka na strzępy.

Równocześnie o pancerz zabębniły pociski mniejszego kalibru. Silnik nieoczekiwanie zgasł, a wszystkimi potężnie zatrzęsło.

– Przekłete działko! – stwierdził Sir. – Pelotka, rozwalić ją! Godzina jedenasta! Burzący!

T-34 miał w końcu okazję poszaleć. Serią dziesięciu strzałów dał radę wyeliminować większość cekaemów i wszystkie pelotki, które zdradziły swoją obecność. Zużyli prawie całą amunicję do cekaemów i działa.

Pomimo braku komunikacji, powstańcza obstawa mostu w lot pojęła o co chodzi i sami ostrzeliwali brzeg rzeki, aby udrożnić przejazd.

– Dalej! Musimy wrócić na nasz brzeg!

– Ale tak dobrze idzie...

Czołg też wyraźnie sprzeciwił się powrotowi, gdyż zgasł i nie chciał odpalić przez ponad minutę. Pomimo względnie bezpiecznej sytuacji, Quietlane nie miał ochoty wychodzić spod bezpiecznego pancerza i szukać korby rozruchowej. W końcu potoczyli się do przodu, wymusili zrobienie przejścia i pojechali z powrotem drogą, którą szturmowali wczoraj.

O pancerz dalej bębniły jakieś losowe odłamki. Nawet nie dawało się stwierdzić, skąd pochodzą. Zaczął się też prawdziwy grad kul karabinowych o pancerz wieży, który Kras tylko wyśmiał.

– Co oni, chcą nas wypukać na śmierć?

Przestał się śmiać, kiedy okazało się, że coś utkwilo w mechanizmie obrotowym wieży i teraz mogą strzelać wyłącznie na wprost.

Po drugiej strony czekała już obstawa przyczółku, flankująca ich od bocznego ognia z przekoszonych stanowisk na brzegu.

– Z drogi, dzieciaku!

W okularach wizjerów pojawiła się niewielka sylwetka lecącego pegaza i intensywnie machającego w jego kierunku czerwoną chusteczką. Sir otworzył włącz i wychylił się.

– Co tam? O co chodzi?

Dziecko podleciało bliżej i wylądowało na wieży tuż obok kryształowego ogiera. Podało mu zmiętą karteczkę.

– Rozkaz do dowódcy pojazdu „Tia”. Zaraz, chwilunia! Abcug podpisik proszę.

– Dobra jesteś...

– Dobry!

– Tak, tak. Proszę, a teraz przesyłeczka dla mnie.

Sir zaczął czytać, a po chwili zerknął na chłopaka.

– A ty wciąż tu jesteś?

– Pan czyta dalej, to się wyjaśni.

– Hmmmm... „i nie ma wrócić bez wiążącej odpowiedzi”. Chyba wiążąca odpowiedzią jest to, że mamy tam pojechać. No dobra, to jedziemy zatem razem.

– Czy mogę... do środka? – pegazikowi oczy zapłonęły pożądaniem.

– Jasne, wskakuj!

– Hurra! – ucieszył się i zanurkował w ślad za kryształowym.

Wnętrze pojazdu dla każdego żrebaka musiało być krainą cudów i marzeń. Niby ciasne, niby krepujące ruchy, ale wciąż czuło się, że to przestrzeń do kierowania wielkim czołgiem. Małe siodełka dla załogi obite skórą, wystające z mroków wnętrza jakieś manetki i zawiasy sprawiały wrażenie, że jest się na pokładzie jakiejś steampunkowej maszyny z powieści fantastycznej. Jednak nie było tutaj ani krzty magii, a nawet elektryki nie za dużo. Oświetlenie wyraźnie niedomagało, więc gdyby nie otwarte włazy, to zaistniałaby konieczność działania prawie po omacku.

– Załoga w wozie? – upewnił się Sir przyczesując sobie grzywę. – To ruszamy!

Architektura na drugim brzegu była o wiele bardziej zmasakrowana, co zmuszało czołg do wymijania głębszych lejów lub przewróconych w poprzek drogi tramwajów. Solidnym utrudnieniem były też pozostałości barykad, więc zdecydowali się jednak pojechać szybciej, na przełaj przez terytorium kontrolowane przez Sombryjczyków. Minęły ze dwa kwadranse podejrzanego spokoju.

– Dobrze, że nie pytasz dokładnie do czego służy to wszystko – powiedział Sir do młodego, który ulokował się za jego plecami.

– Bo to wkurza?

– To... też. Przede wszystkim sam nie wiem, do czego jest tutaj kilka rzeczy. Jeżdżę tym czołgiem drugi dzień.

– Kontakt! – ostrzegł Krasu. – O kurwa, to IS!

– Nie przy młodym... o kurwa, faktycznie!

W wizjerze dało się dostrzec szeroki tył ciężkiego czołgu wraz ze spadzistymi kratkami osłony silnika. W ich stronę celował tylny wieżowy karabin maszynowy, lecz obsługa była chyba całkowicie zaaferowana tym, co dzieje się z przodu. Zresztą, tak samo jak obstawa

piechoty, która strzelała do czegoś niewidocznego z tej perspektywy, a ulokowanego u stóp zabytkowego gmachu.

Nagle IS wypalił, a potężny huk przetoczył się ulicą i był wyraźnie słyszalny nawet we wnętrzu T-34. Daleko przed przeciwnikiem dostrzegli wyrastający obłok kurzu, wznieconego przez eksplozję.

- Mamy ostatnie dwa naboje!
- Starczy – odpowiedział spokojnie Sir. – Walnijcie go w silnik przeciwpancernym.
- Jest przeciwpancerny! – zameldował
- Wieża się nie obraca, do kroćset! Dwa stopnie w prawo!
- Tak dobrze?
- Za mocno! Trochę w lewo!

Manewrowanie całym kadłubem, zamiast wieżą okazało się być bardzo żmudnym zajęciem. Szczególnie, że drgania całej struktury odrobinę przesuwwały wieżę, co jeszcze bardziej psuło wycelowanie.

- Ale dzisiaj, chłopaki! Oni zaraz nas dostrzegą!

Wystarczyło, że choć jeden z czerwonoarmistów odwróci głowę i dokładniej przyjrzy się dziwnemu czołgowi.

Co właśnie jeden uczynił, jednakże zdawał się nie zauważać niczego podejrzanego. Nawet trącił ogonem stojącego obok kolesia w okrągłej czapce oficerskiej, a ten pomachał zapraszająco.

Jednak dziwny taniec w miejscu musiał wydać się nieco podejrzanym. Nie minęła chwila, a dwaj żołnierze przeszli kilka kroków, aby lepiej dostrzec napisy namalowane na bocznym pancerzu...

IS zdążył przeładować. Rąbnął w prawą wieżę budynku, która nadęła się jak żaba, a potem runęła, zawalając się do środka. Na wszystkie strony obsypały się cegły, a w ślad za nią przewaliła się do przodu część szczytu głównej fasady. Runął też kawałek dachu, rozsiewając wokoło dachówki niczym pestki jakiejś egzotycznej rośliny. Po chwili wszystko skryły dyskretne obłoki pyłu i tynku.

– No dawajcie! Teraz jest dobry moment! – krzyczał Sir, próbując przebić się przez rumor walącego się budynku. Quietlane z niepokojem ujrzał, że jeden z piechocińców wskakuje na wieżę ISa i dobija się do środka. Z oczywistym ostrzeżeniem. Harcerz coraz częściej wpatrywał się we właz dowódcy, jakby obliczając czas potrzebny na ucieczkę. Zaczął ciężko dyszeć. Chyba dawała o sobie znać wrodzona pegazia niechęć do ciasnych pomieszczeń...

– Daleko jeszcze? Nasz goniec zaraz...

– Jest cel!

– Dawajcie!

T-34 wystrzelił w tylną część odlewanej wieży przeciwnika. Strzał dosłownie zdmuchnął bojca, który poleciał gdzieś w bok. Wszyscy skryli się przed odłamkami, które musiały zrobić niemałe spustoszenie.

Jednak na samym ISie już niekoniecznie zrobiło to wrażenie. Zbudzony kolos zaczął obracać wieżę, aby wycelować do tyłu. Jednak jego lufa okazała się za długa, aby zmieścić się między ścianą, a latarnią. Czołg podjechał kawałek do przodu...

– To był, burzący, do kroćset! Popraw to!

– Ostatni pocisk!

– Jest cel!

– Wal!

Tym razem trafili prosto w silnik. Już z daleka dało się dostrzec, że doszło do penetracji i potężna osiemdziesięciopięciomilimetrowa armata zrobiła co należało. Spod żaluzji silnika buchnął potężny komin dymu.

IS jednak nadal nie dawał za wygraną. Wieża obracała się dużo wolniej, bo najwidoczniej wysiadł silnik elektryczny, zostawiając do dyspozycji tylko manipulator ręczny.

– Co za pojeby! – powiedział spanikowany Krasu, a młody harcerz próbował wcisnąć się w najciaśniejszy kąt przedziału. Teraz nie odrywał wzroku od włazu, którym dostał się do środka.

– Nie ma amunicji!

– Opuści...

Sir nie zdążył dokończyć, gdyż pojazdem szarpnęło. Rzucił się do przodu tak żwawo, jakby nie miał wcześniej żadnych kłopotów z pompą paliwową. Szybko nabierał prędkości.

– Podnieście maksymalnie lufę – powiedział do interkomu Quietlane. – I lepiej czegoś się złapcie!

Szarpnęło jak nigdy wcześniej, a Tia ruszyła przed siebie jak spłoszony bizon. Trzydziestotonowy bizon.

Czerwonoarmiści pierzchali przed szarżującym T-34, a IS na chwilę przestał obracać wieżę. Jednak ciężko powiedzieć, czy to z powodu rozprzestrzeniającego się pożaru, czy ataku średniego czołgu. Załoga otworzyła włazy i zaczęła się ewakuować, kiedy Quietlane dojechał do przeciwnika.

Kiedy zostało zaledwie dziesięć metrów, zaciągnął hamulec. Gąsienice stanęły w miejscu i wpadły w poślizg, szorując krawędzią po gładkim bruku. Poleciały iskry, a jedna taśma nagle pękła i strzeliła w bok sworzniami. Kilka ogniw posypało się dookoła i T-34 niezbyt mocno uderzył przednią częścią lewej burty o ISa. Od strony szpitala padła gęsta salwa, celująca w ewakuujących się sombryjskich czołgistów, nie oszczędzająca nikogo.

Po chwili było już pozamiatane. Czerwonoarmiści wycofali się, a powstańcy wyszli zza barykady, aby przejść na odsiecz nieco poobijanym i zszokowanym czołgistom. Po otwarciu włazów jako pierwszy wyleciał ze środka pegazik, który po krótkim i nieco chaotycznym szybowaniu wylądował tuż przed Ace'em.

– Druh Nipper melduje powrót z wiążącą odpowiedzią!

Ace uśmiechnął się i poklepał go po głowie, a potem zasalutował.

– Na pewno zostaniesz wymieniony w dzisiejszym dzienniku działań bojowych. Gratuluję perfekcyjnie wykonanego zadania. Choć minęło trochę czasu i już ciebie pochowaliśmy, tak jak tamtego... pod ogniem ich snajperów nawet nie mieliśmy na to czasu...

Wskazał na ciało żrebaka, wciąż leżące pod kopytami Meadow Brook. Uzdrowicielka zdawała się załamywać kopyta nad nieszczęsnym, martwym dzieckiem. Skroplona rosa dziwnym zbiegiem okoliczności zbierała się w kąciakach oczu posągu i kapłała ciężkimi łzami dokładnie na malutkie ciało. Cała scena wyglądała jak matka oplakująca własne, martwe źrebię.

To potrafiło skruszyć serce każdemu.

Equestriańskie posągi zawsze fascynowały i zdawały się być wzruszająco milczącymi komentatorami rzeczywistości.

Pod osłoną kilku strzelców, rozpoczęto przeszukanie poległych i wydobywanie z ich ładownic wszelkiej amunicji. Ktoś inny spróbował pomóc założyć gąsienicę, co jednak okazało się niemożliwe.

– Cholera, nie mamy zapasowych sworzni! – jęknął Quietlane, wskazując na pouszkodzone trzpienie.

– Może tamci mają? – Ace wskazał na zachodnią aleję, gdzie widniał rozbity i wypalony wrak innego T-34. Sir z początku się ucieszył, widząc kolejnego pokonanego przeciwnika. Jednak potem dostrzegł na nim napis „Woonah”. Najwidoczniej temu dziwnemu mechanikowi udało się uruchomić drugi czołg. Niestety, na krótko

*

4 kwietnia 1272

Baltimare

10:12

Zbiegli z lotniskowca, choć serca mieli w gardle, albo jeszcze wyżej. Brave Wing zaciskał z całej siły zęby, aby nie eksplodować ze strachu. Jednak wszystko wydawało się iść w dobrym kierunku. Gryfy patrzyły na nich jak na jakieś ścierwo, ale nie robiły żadnych przeszkód. Kiedy dochodzili do krawędzi pokładu, już czekały tam ich walizki. Nie było żadnego komitetu pożegnalnego, nawet sam Grandefeller nie przyszedł. Jednak kucyki za nim nie tęskniły.

Na falach kołysał się ich Arado. Już z góry dało się dostrzec, że pośpiesznie załatano wyrwy w poszyciu, choć sama kabina nie została uszczelniona. Nie było to jednak ważne. Grunt, aby silnik dał radę zabrać ich z powrotem. Brave Wing z ulgą siadł za sterami niezwykle

zadowolony, znajdując się znowu we wnętrzu dopasowanym do jego rozmiarów. Co więcej, była to bądź co bądź namiastka Equestrii.

Zakładając gogle i robiąc checklistę pomyślał, że mimo wszystko mieli dużo szczęścia. Gryfy zapewne traktowały Celestię jako żyjącą, magiczną abominację lub nawet jakieś niebezpieczne, rozkapryszone bóstwo, z którym bezpośrednio lepiej nie zadzierać. Dlatego dali wiarę w opowieści o telepatycznej łączności między nią, a łańcuszkiem...

Silnik odpalił bez problemów i już po chwili sunęli po falach, nabierając prędkości. Jeszcze chwila i wzbili się w powietrze. Szło to nieco leniwie, ale konsekwentnie. I na pewno było warte każdego rachunku, jaki Gryffonia wystawi Luftmare.

– Mamy gości na piątej i siódmej – obwieściła Skalska.

– To nasza eskorta – stwierdził Brave Wing. – Musieli wystartować z pokładu. To pewnie dwa Seafire’ry. Starajmy się je ignorować.

Do brzegów Equestrii dotarli dość późno, bo dopiero nad ranem trzeciego kwietnia.

Początkowo wydawało mu się, że postępuje słusznie i może liczyć na słowa uznania od Dorniera, a nie krytykę. Jednak lądując zmęczonym Arado zaczął nabierać wątpliwości. W końcu przerwał misję wagi państwowej. Może to była farsa i to grożąca jakimś incydentem, ale podjął decyzję bez żadnych konsultacji. Co on sobie myślał? Był głupim porucznikiem, żadną szlachą! Zasługi z Kryształowego Imperium i orderzy od Cadance go nie ocalą przed gniewem Dorniera.

Dlatego kiedy zdał maszynę i kazał się doprowadzić do kogoś kompetentnego, to już w zasadzie wiedział, że właśnie podpisał na siebie degradację. Jednak wyrok został odłożony do godziny dziesiątej następnego dnia, kiedy miał przybyć oficer odpowiedzialny za jego misję. Przynajmniej znalazł się czas na ogarnięcie się po podróży i pozwiedzenie miasta, aby móc położyć umytą i wyspaną głowę pod topór.

No i dziesiąta wybiła właśnie teraz!

Młodziutki adiutant zaprowadził go do zbombardowanych koszar położonych nieopodal lotniska. Większość pomieszczeń wciąż nadawała się do użytku, więc bezskrzydłe kucyki musiały jedynie przeskakiwać dziury lub uważać na deskach przerzuconych nad wyrwami. Brave nie czuł się zbyt pewnie ze swoją drewnianą nogą, lecz robił dobrą minę do złej gry. Szczególnie, że chciał uniknąć przenoszenia na grzbiecie przez Skalską, która nie przepuściłaby żadnej okazji, by go ponownie upokorzyć. A przynajmniej on tak to widział.

Oboje byli wciąż w kombinezonach i mundurach, które przedstawiały obraz zażartej bitwy. Brudne od krwi, poplamione i poszarpane odpryskami kabiny miały stworzyć wrażenie, że obaj żołnierze wracają z pierwszej linii frontu w największym pośpiechu, gotowi do natychmiastowej służby. I że bardzo im zależy.

To mogłoby uśmierzyć gniew dowódcy.

Adiutant zapukał do sfatygowanych drzwi z wyraźnie prowizoryczną tabliczką „dowódca 1. Floty Powietrznej”.

Co? – zdziwił się Brave – To oni nie walczą na północy?

Wewnątrz nie spotkał oficera, a kogoś o wiele groźniejszego. Za drzwiami czekała na niego generał dywizji Spitfire we własnej osobie.

Wytrzeszczył oczy nie tylko z zaskoczenia widoku dawnej rywalki swego mistrza. Przede wszystkim ledwo ją poznał. Dwa lata wojny bezwzględnie odbiły się na jej urodzie. Makabryczne wory pod oczami, sztuczne prawe ucho, zmarszczki godne o wiele starszego kucyka, a także obwisła skóra i całkowicie pozbawione swego drapieżnego zacięcia usta. Garbiła się nad biurkiem zasłanym formularzami i nosiła grube okulary. W dodatku powietrze było aż gęste od dymu papierosowego, który odebrał mu początkowo dech. Zakaszał, dostrzegając przepełnioną popielniczkę.

– Generał Spitfire... – zaczął Brave, nie wiedząc jak się odezwać. Powinien złożyć oficjalny meldunek, ale widok tak nieszczęśliwie przeżutej przez życie klaczy wytrącił go z rytmu. Z tego powodu jego ton zabrzmiał litościwie, co chyba nie spodobało się Spitfire. Podniosła głowę i nasunęła na czoło okulary, przeszywając go spojrzeniem.

Oczy były te same. Najpiękniejsze bursztyny na niebieskim niebie Equestrii. Orle, gryfie, sokole... dziennikarze prześcigali się w porównaniach. Kiedy ogier się spotkał z ich spojrzeniem, wszystko się zmieniło. Jakby zmarszczek ubyło, zgarbiona sylwetka nabrała majestatu, a skóra zabłyszczała egzotycznym pięknem. Teraz znowu czuł, że stoi przed jednym z najlepszych lotników w historii Equestrii, którego sława onieśmiałała koronowane głowy na całym świecie.

– Słucham, poruczniku?

Splonął rumieńcem, jak przed pierwszą życiową próbą zaproszenia dziewczyny na potańcówkę. Co za absurdalne uczucie w takiej chwili!

– Po... orucznik Brave Wing... mel... melduje powrót z zadania bojowego. Ja...

Wiedział, że to koniec i Spitfire jako surowy dowódca zaraz poszuka formularza do zalegalizowania egzekucji jego kariery. Co w ogóle działa się z bohaterami wojennymi, których się wywala ze struktur? Nigdy wcześniej nad tym nie myślał...

Nagle przypomniał sobie Rainbow Dash, która znalazła się w podobnej sytuacji. Dornier nie miał wyboru i odesłał ją do domu z wilczym biletem. Biedaczka musiała z rozpaczyny odbijać się od ścian niczym owad złapany w pułapkę.

Musi do niej napisać! Może tym razem mu odpisze? Może...

– Tak, tak. Świetnie, że tak szybko wróciłeś – Spitfire przerwała jego rozmyślenia. – To aż niesamowite, ale zwisa mi to. Raczej obstawiałam, że gryfy jakoś przeszkodzą w przechwyceniu rozkazu natychmiastowego powrotu do domu. Dostałam twoje papiery, ale za cholerę nie rozumiem, po co was tam wysłano. Tutaj jest jakiś niewyobrażalny bałagan! Komuś wysypały się z teczki dokumenty po zebraniu i ułożył je w losowej kolejności, czy co?

Poszukała w popielniczce jakiegoś zdatnego do użycia papierosa, ale najwidoczniej wszystkie miały już dosyć. Spojrzała na niego pytająco, ale jako niepalący mógł tylko pokręcić głową. Wróciła do monologu:

– Po wybuchu powstania zmieniły się priorytety, gdyż termin złożenia przez ciebie raportu z wykonania zadania przesunięto na „pierwszy możliwy okres po zakończeniu działań wojennych 3. Pułku Powietrznego”. Raczej spodziewałabym, że to nastąpi najwcześniej po wypucowaniu gruzów Manehattanu. Ogólnie ta misja to podejrzana sprawa i nikt nie chce się przyznać, do czego miała służyć.

Kilkukrotnie otworzyła i zamknęła teczkę, na której obok tysiąca pieczętek „ściśle tajne” Brave Wing dostrzegł tytuł „Operacja Coolcat”. Nic z tego nie rozumiał, ale czuł, że chyba jednak dzisiaj jego kat dostał wychodne.

– Pakujcie się oboje, natychmiast jedźcie do trzeciego pułku. Tam was wsadzą w samolot i zaczniecie być pożyteczni. Nie potrzebujemy najlepszych pilotów na jakiś pożalowania godnych bankietach ze striptizem...

– Tak jest! – odpowiedział szybko, aby wykorzystać swoją nieprawdopodobną szansę wywinienia się od odpowiedzialności.

Popatrzyła na niego jakoś inaczej. Jak matka, która widząc swego dorosłego syna uświadamia sobie, że zmarnowała własne życie. Znowu zrobiło mu się głupio i gorąco.

– Trochę ci zazdroszczę. Też chciałabym znowu zasiąść za sterami i coś rozpieprzyć. Szczególnie, że teraz na niebie pojawiło się tyle cudownych nowinek... ale niestety... jestem potrzebna tutaj z tym... – wskazała na teczkę i chwilę zadumała się.

Brave Wing dalej stał i musiał chrząknąć, aby przypomnieć jej o swoim istnieniu.

– Odmaszerować! – rozkazała Spitfire i straciła nim zainteresowanie. Posłusznie odwrócił się i trzasnął kopytem tyle razy, ile wymagał tego regulamin.

Co się właśnie stało? Czemu miała służyć ta misja... i czy przypadkiem Spitfire nie słynęła z... i to oni kazali wracać?

– Mam nadzieję, że powiedziałeś, że to tylko i wyłącznie był twój rozkaz? – zapytała Skalska czekając cierpliwie za drzwiami. Brave Wing wzruszył ramionami.

– Nie musiałem.

– To nie zostajesz nowym wypchanym zwierzakiem Dorniera?

Pokręcił głową, czując jak po grzbiecie ściekają zimne krople potu. Zaczęła go nawet swędzieć brakująca noga. Z trudem nabrał powietrza i stwierdził:

– Chodź, wracamy na front. Ale taki prawdziwy.

Skalska łypnęła na niego okiem ale wnet się wyszczerzyła rozpromieniona zupełnie jakby zaproszono ją na kolejną popijawę.

– No, to kurwa rozumiem!

*

4 kwietnia 1272

Canterlot

12:45

– Wasza miłości! – krzyknął Sunwise wbiegając do gabinetu, w którym Celestia właśnie przeglądała jakieś dokumenty. To było piramidalne pogwałcenie przepisów i protokołu, lecz biała klacz od razu zrozumiała, że musiało stać się coś wyjątkowego. Z trudem uniosła chrapy znad papierów. Ból był dzisiaj naprawdę nieznośny, a w dodatku głowa jej ciążyła w dziwny sposób.

– Co się stało? Mów, proszę!

– Przybył uchodźca z powstałej Fillydelphii! Ma ważne wieści! Przyniósł też małą paczkę zdjęć!

Ledwie pięć minut później Celestia zasiadła na tronie i rozkazała Sunwisowi wprowadzić gościa. Cała była roztrzęsiona, gdyż właśnie do sali wkraczał pierwszy i dotychczas jedyny naoczny świadek piekła, które trawiło miasto. Głos! Prawdziwy, żywy głos, wydobywający się z ust, które mogła dojrzeć własnymi oczami. Niestety, ale komunikacja radiowa z miastem działała fatalnie, a magiczna zupełnie nie dawała rady.

Ech, do Kryształowym Imperium dało się przynajmniej wysłać listy poprzez Spike'a...

Sunwise prowadził po czerwonym dywanie młodego, wysokiego i smukłego pegaza, który jednak wyglądał jakby już leżał na stosie pogrzebowym. Wychudzone nogi i wyliniąta grzywa sprawiały żalosne wrażenie, porwana koszula groziła rozpadem, a gogle nasunięte na czoło przerażały pajęczyną pęknięć. Młodzian niegdyś musiał szczycić się interesującym, purpurowym umaszczeniem oraz białą łysinką nad chrapami, lecz teraz futro było zatłuszczone, oblepione wyschniętą pianą i powycierane do nagiej, poranionej skóry. Potworne wory pod zielonymi oczami patrzyły tak smutno, jak tylko potrafią skazańcy.

– Pani... ja...

Spróbował się uklonić, ale zmęczenie przeważało. Potknął się rozłożył bezwładnie na podłodze. Sunwise rzucił zaklęcie, które przywróciło go do pionu i szybko zaczął się tłumaczyć:

– Proszę wybaczyć, moja pani, ale on nie pozwalał się jakkolwiek doprowadzić do porządku! Błagał na kolanach o audiencję i tylko o to!

Chciał wyglądać w pełni przekonująco, abyśmy nawet przez chwilę nie odważyli się wątpić w autentyczność jego przeżyć – pomyślała Pani Dnia i nadstawiła uszu. Ogier zakaszłał, chwilę zebrał się w sobie, a potem spuszczaając nisko głowę przemówił bardzo poetycko, jak ktoś, kto układał tekst przez długie godziny podróży:

– Najjaśniejszy promieniu, ciepłe, które obdarza życiem wszystko co na ziemi i w powietrzu... księżniczko Equestrii... ja... uniżony poddany... błagam ciebie o audiencję...

– Ależ mów proszę, dzielny podróżniku! – odpowiedziała z autentyczną, matczyną troską. Załamała kopyta patrząc na przybysza i serce zaczęło ją boleć nie tylko z powodu jej

dotychczasowych problemów. – Lecz proszę, pozwól wpierw podać sobie strawę i opatrzyć swe rany...

– Nie może to być! Nie mogę! – na jego twarzy na chwilę zagościł grymas obłędu. Przerwał jej tonem, na który mogli pozwolić sobie tylko ci, którzy żyli dla misji lub idei, lecz szybko opamiętał się i wyjaśnił – Pani! Jak tylko dotknę pościeli lub przełknę kęs, to moja determinacja pęknie jak wysłużony dzban, który przeżył zbyt wiele. Twój żołnierz dawał mi wody i to wystarczy. Muszę... muszę najpierw przekazać tobie wiadomość od samego majora Hedgehoga... Wiadomość w imieniu wszystkich setek tysięcy Equestriańczyków zamkniętych w ogarniętym obłędzie mieście!

– Słucham więc uważnie. Mów czym prędzej!

– Pani!... Nasze powstanie okazało się błędem! Otwarty, masowy bunt spowodował Sombryjczyków. Ich akcję odwetową przeprowadzają w niespotykanej dotychczas skali. Rozpoczęli systematyczne podpalanie kamienic... dom po domu, ulica po ulicy. Mordy i gwałty to codzienność... W każdej chwili jakiś bagnet przebija niewinne serce! ...Nie ma słów w naszym ubogim, szorstkim języku, zdolnych to opisać! Powstanie trwa w krwawej wojnie pozycyjnej z Armią Czerwoną. Nasze okręgi są rozdzielone. Nie potrafimy połączyć rozdzielonych dzielnic i doprowadzić do przełamania. Z trudem utrzymujemy raz zdobyte pozycje. Czekają nas niechybnie rychły koniec. Brak nam wszystkiego. Nie mamy amunicji,... żywności... Nie ma leków! Nie mamy gdzie gromadzić rannych i bezdomnych, ani gdzie grzebać zmarłych. Brakuje nawet wody pitnej. Nie ma nawet skąd brać mleka dla źrebiąt. Miasto czeka koniec! Rychła jest katastrofa humanitarna. Nawet, jeśli kiedyś Maremacht odniesie sukces i je wyzwoli, to ujrzy jedynie stosy ciał do spalenia pośród zgniłych ruin. Miasto błaga o odsiecz! Za wszelką cenę!... Ratuj nas pani! Ratuj... swą Fillydelphię!

Padł na kolana i po raz pierwszy podniósł głowę. Spojrzał prosto w fiołkowe oczy Pani Dnia, najwspanialszego majestatu Equestrii, najstarszego alicorna. Bez skrupułów i bez wahania.

– Miasto błaga... o pomoc...

Stracił przytomność i przewrócił się. Wola kucyka w końcu przegrała wycieńczeniem ciała. Wypełnił swą misję. Zasnął. W ciszy jaka wypełniła pomieszczenie, jego krótki, urywany i nieregularny oddech nie brzmiał zbyt dobrze. Sunwise nie czekając na pozwolenie księżniczki wystrzelił kilka iskier ze swojego roku, a do sali wkroczyło dwóch sanitariuszy, najwidoczniej czekających wcześniej w gotowości.

Kiedy goniec został zabrany, stary ogier podszedł do podwyższenia tronu i pokazał księżniczce kopertę, z której wystawało kilka fotografii.

– Proszę o wybaczenie, o wasza świetlistość, ale w trakcie przeszukiwania przybyśza pozwoliłem sobie przejrzeć te zdjęcia. Są doprawdy koszmarnie i całkowicie zbieżne z tym poetyckim, dramatycznym apelem.

– Zaraz je zobaczę, ale i tak wierzę w jego opowieść bez zastrzeżeń. To takie boleśnie logiczne, że Sombryjczycy w ostatnim ruchu postanowili spalić wraz z sobą cały świat, czy raczej jego fragment do którego jeszcze sięgają. Zaskakująca nieco jest tylko zaciekłość tego działania. Jakby zupełnie umarli w nich zwykle, kucykowe uczucia, bierność, zaniechanie, czy chociażby lenistwo. Nie jestem tego pewna, lecz sądzę, że to w tym mieście znajduje się wytłumaczenie tego procesu oraz, że ma to konotacje z moim stanem zdrowia. Obawiam się, że Sombra nie przesadzał w swoich zeznaniach.

Zeszła z tronu i szybko przejrzała plik tuzina zdjęć, z których każde kolejne wydawało się jeszcze paskudniejsze od poprzedniego. Ulice zasłane trupami, piramidy ciał, dorosły ogier w panterce i z opaską, który niesie martwe dziecko przewieszone przez grzbiet. Wypalone do cna kamienice, w których jak szczury gnieźdzą się cywile. Cali czarni i brudni i tylko przerażone oczy błyszczą w mroku.

Serce stało się zimną i lepką kluchą, którą ciążyła w piersi jak worek torfu.

– Szambelanie, proszę natychmiast obudzić moją siostrę. A także powiadomić sztab generalny, że zwołuję jego kryzysowe posiedzenie. Za kwadrans chcę wszystkich widzieć w gabinecie mojej siostry.

Dotarła tam dokładnie w wyznaczonym przez siebie czasie. W czarnym kominku nie płonął żaden ogień, jak zresztą prawie wszędzie w magicznych, nierealnych wnętrzach Nocnego Dworu. Poza kuchnią unikano poważnych temperatur, aby nie osłabiać magicznych murów i ich spoin. Zresztą, żyjące tutaj nietokuce wołały chłód i półmrok.

Mimo to nie dało się powiedzieć, że pokój roboczy Luny by zimny i niegościnnie. Wykonana z czarnego drewna boazeria i rozrysowana na suficie mapa nieba pozwalały poczuć się jak w dobrze zaprojektowanym muzeum Nightmare Moon. Szczególnie, że w komnacie na stojaku znajdował się jej pancerz, który przypominał Lunie o wielu istotnych cechach jej własnego charakteru. Na ścianach namalowano historię samej księżniczki jak i jej wcielenia jako Księżycowej Czarownicy. Były to dwuwymiarowe grafiki wzorowane na średniowiecznych gobelinach, ponyckich malowidłach grobowych i staropegazich freskach.

W powietrzu dało się wyczuć zimną zawieszinę strachu i niepewności, którą podsyciała sama Pani Nocy. Wyglądała jak upiór z przekrwionymi oczami i potarganym ogonem, a przede

wszystkim co chwilę narzekała, że ją obudzono i to tak brutalnie! A miała ciężką noc, mnóstwo zmartwień, gdy opiekowała się odsypiającą siostrą! Powątpiewała, czy ktoś tutaj w ogóle o nią dba.

Celestia obawiała się, że to dziecinne marudzenie może być lekkim atakiem alicorniej choroby, lecz nie chciała wnikać. Póki siostra sprawiała wrażenie w miarę kontaktowej, to należało wykorzystać okazję. Biała klacz opisała okoliczności przybycia Fillydelphianina, streściła jego relacje oraz pokazała przemycone zdjęcia na rzutniku. Seagullcry dostała czkawki i z każdym kolejnym slajdem odsuwała się w tył sali. Dornier stał niewzruszony jak słup, a Depicted Picture stuknęła kopytem w biurko księżniczki, coraz szybciej i mocniej, aż w końcu walnęła w nie z trzaskiem głośnym jak wystrzał.

– To jakiś pierdolony amok! To przechodzi wszelkie pojęcie! Po co to robią?

– Jestem... byłam... w stanie zrozumieć Harasshorsk... – wyjąkała Seagullcry zieleniejąc na twarzy. – Chcieli... pozbyć się... wrogów. Ale teraz przecież muszą wiedzieć... że już po wszystkim.

– Marnują swoje ostatnie środki. To niehozważne – zauważył Dornier.

– Zemsta. Mroczna zemsta – szepnęła Luna i nagle ożywiła się. Spoważniała i w jej oczach zabłyszczało coś tak niebezpiecznego, aż wszystkim kucykom, włącznie z Celestią podniosły się włosy na karku. Pani Nocy nie była już zmęczoną i nieco zdzienną, nadąsaną klaczą, a skojarzyła się z żywym koszmarem. Skojarzyła się z Nightmare Moon. Nie wiedzieli, czy to tylko oczy ich wyobraźni, czy prawdziwie jakby nieco zaostrzyły jej się zęby, zwęziły źrenice, a futro pociemniało.

– Nie zrozumiecie tego – kontynuowała z pasją i jakby niższym niż zwykle głosem. – wy... słodkie i niewinne kucyki urodzone w ciepłe dnia, gdzie na słonecznych błoniach nie ma cienia i żadnych bluźnierczych sekretów. Nieważne, czy posiadacie żelazne, ogniste czy wypełnione morską wodą serce. Nie tonęliście nigdy w mroku.

– Luno... opanuj się – poprosiła Celestia, lecz wtedy siostra obróciła się ku niej gwałtownie i jakby dorównała wzrostem. Gwiazdzista grzywa falowała jak w czasie sztormu, aż gasły w niej światła. Z niepokojem patrzyła na stojącą obok zbroję, która milcząca drwiła z żyjących.

– Tak... wiem jak trudno to znieść i jak wiele trzeba odwagi, aby spojrzeć w ciemność! Ale musimy to zrobić, jeśli chcemy zrozumieć, co popchnęło tych zniewoleńców do podobnych czynów!

– Ja... ja jestem gotów... – odpowiedział Dornier z prawdziwym lękiem, którego niemalże nigdy nie objawiał. Pozostałe klacze nawet nie drgnęły, tylko skamieniałe czekały na rozwój wypadków. Zbroja nadal milczała, a Celestia przyłapała się na obserwacji pancerza i czekaniu na jego ruch.

Luna stanęła w świetle projektora, który w ogóle nie rozjaśniał jej mroczniejącej sylwetki.

– Sombra zanurkował w czerń oceanu niegodziwości o wiele głębiej, niż nam się wydaje. Nie tylko zaadoptował pojęcie wojny totalnej, ale i sam ją udoskonalił, dodając coś od siebie. A była to żalność porażki, którą król doskonale zdążył poznać. Jej gorzki smak i woń rozkładu była tak przytłaczająca dla kucykowego serca, że musiał się nimi podzielić, aby jakoś spróbować się uwolnić. Ten głupiec myślał, że emocje można tak łatwo zrzucić na innych, a szczególnie na magiczne byty.

Cała generalicja wciąż wpatrywała się zahipnotyzowana w Lunę niewiele rozumiejąc. Celestia starała się częścią uwagi nadzorować zachowanie i ciało siostry, bacząc, czy nurkując w swym mroku nie dotrze zbyt daleko i nie zaistnieje potrzeby jej ratowania. Obiecała sobie później wytłumaczyć młodszemu kucykowi, co tutaj zostało powiedziane.

– Król nie mógł znieść świadomości, że porażka może nie zostać pomszczona. Może tak po prostu się wydarzyć, zostać zapisana w kronikach. Nie mógł pozwolić aż tusz zaschnie i w ten sposób zakończy historię. W swej nikczemności rozbudził w podległych mu umysłach obsesję zemsty. Bardzo wyuzdaną, jak wszystko, co mogła wykreować tak dalece zboczona psychika. Dlatego te kucyki nie postępują już zgodnie z własnym sumieniem lub osądem. One również zaraziły się pragnieniem zemsty wbrew wszelkiemu rozsądkowi, nie bacząc nawet na samych siebie. To absurdalny, chaotyczny żywioł zemsty nakazuje im zostawić po sobie jedynie spaloną ziemię.

– Ale jak?! – zapiszczała Depicted Picture.

Luna uniosła głowę i głośno westchnęła. W mgnieniu oka znowu była sobą, więc wysoką, choć już nie gigantyczną klaczą o subtelnie komponujących się, kojących kolorach nocy, a także najpiękniejszych oczach. Spojrzała smutno na swoich przyjaciół i z nieukrywanym smutkiem odpowiedziała:

– Nie wiem. Choć sama zgłębiłam arkana czarnej magii, to nie wiem, jakich dokładnie środków użył Sombra. Mówił o zawiązaniu klątwy w jakimś artefakcie, który jednak zdaje się być ledwie nośnikiem jego woli, a nie samodzielnym aparatem.

– Dlaczego wciąż walczą, a nie rzucają wszystkich sił do siania śmierci i zniszczenia? – zapytała strwożona Celestia.

– Mrok Sombry też potrzebuje czasu, aby skazić umysły swoich poddanych. Najwidoczniej zatruł ich tylko częściowo i w gruncie rzeczy Armia Czerwona natchniona nowym morale postępuje jeszcze przede wszystkim zgodnie z własną sztuką wojenną. Ale każdego kolejnego dnia będzie tylko gorzej. Czas jest naszym przeciwnikiem.

Celestia podeszła bliżej i mocno przytuliła siostrę, bardzo czule i intymnie, nie bacząc na obserwatorów. Nie musiała się jednak krępować, gdyż w Equestrii okazywanie takich czułości było na porządku dziennym. Pomimo dwuznacznych wspomnień z wczoraj, Luna nie oponowała.

– Musimy czym prędzej przerwać tę egzekucję!

– Nie mam... czym... i to moja wina... – wycodziła przez zęby Depi. – Nie jestem w stanie zdobyć miasta bez przegrupowania. A na to potrzeba jeszcze dwóch tygodni, nim cały sprzęt zostanie naprawiony, a te Arabusy przywiozą nam benzynę.

Luna spojrzała w oczy Dornierowi i zadała mu nieme pytanie. Nie musiała mówić, nie musiała nawet używać żadnej telepatycznej zdolności. Kwestia była oczywista.

– Moje dzieci uratują Fillydephię – powiedziała próbując włożyć w to jak najwięcej pewności siebie.

– Zgadzam się – poparł ją pilot. – 88. Dywizja Powietrznodesantowa „Bloodmoon” jest po dynamicznym i obfitym szkoleniu, a także została wyposażona. Jeśli zatankujemy thanspohtowce, to będziemy mogli jeszcze jutho zasilić powstanie setką elitarnych komandosów, którzy są najlepszymi żołnierzami świata!

W tym zdradzała się nuta ekscytacji, jakże rzadka dla zimnokrwistego ogiera. Musiało to zrobić pewne wrażenie na pozostałych gdyż Depi go poparła:

– Jestem gotowa odstąpić paliwo swoich czołgów. Zróbmy to!

– Ja również się zgadzam. Szczególnie, że flota potrzebuje jeszcze czasu – dodała Seagullcry.

Luna wyzwoliła się z objęć Celestii i spojrzała na wciąż wyświetlane zdjęcie stosu ciał złożonych w szpitalu. Spojrzała na nie bardzo uważnie i nie odwracając się przemówiła:

– Należy poinformować powstańców, wysłać gońca i wiadomość radiową. Tym razem skorzystamy z innego szyfru, który powinien zadziałać. Trzeba ich też ostrzec o potwornościach skrytych w podziemiach szpitala. Skoro walczymy z najmroczniejszymi sztolniami kucykowej duszy, to musimy wykazać hart ducha. Nie lękać się mroku i nie pokładać nadziei w naiwnej wierze w banalne światło. Ono niewiele pomoże w głuchych głębinach, niewiele nam ukáže. Tutaj potrzeba istot, które same są jedną z tajemnic nocy i jak nikt inny wiedzą, jak się poruszać w mroku. To będzie pierwsza prawdziwa misja dla nietokuców!

*

4 kwietnia 1272

Las Oliv, Oakmill Town, 70 km od Fillydelphii

15:30

Zawsze lekceważyła nauki konserwacji broni białej, zostawiając to służbie. Teraz trochę tego żałowała, gdyż miecz nabrał paskudnego nalotu, a gdzieś tam pojawiły się niepokojące brązowe ogniska rdzy. Jak widać, nawet tak starożytny i zapewne częściowo magiczny oręż miał ograniczoną odporność.

Blackpool usiadła pod ogromną wierzbą płaczącą, która pochylała się żałośnie nad zabagnionym stawem. Po powierzchni czarnej wody wolno pływały suche listki, które jakimś cudem utrzymały się na gałązkach przez całą zimę. Wolno i majestatycznie dryfowały jak papierowe, romantyczne łódki, co jeszcze bardziej pograżało czarodziejkę w melancholii.

Siedziała na kamieniu i starała się choć trochę zadbać o miecz. Otworzyła obok podręcznik, po drugiej stronie rozłożyła przybornik i nadrabiała zaległości w wiedzy rycerskiej. To oczywiste, że jako la Dame du Lac powinna prezentować rodowe ostrze w pełni jego majestatu, ale sądziła, że to raczej kokieteria, niż prawdziwy wymóg objęcia tego urzędu. Mimo wszystko bardzo żałowała dotychczasowego niedbalstwa, gdyż jej broń była naprawdę piękna. Długa i wąska, o szlachetnym kształcie ostrza, a także ze śladami inkrustacji. Niestety, runiczny napis lecący od jelca do połowy płaża był dzisiaj zupełnie nieczytelny. Za to pięknie zachowała się głowica i końce jelca w kształcie wielkich kropli.

Na początku stanęła na dwóch nogach i przyjęła kilka pozycji obronnych. Wysoką drugą, trzecią, niską, ogon, głupca, ogon i cięła niewidzialnego przeciwnika w ręb.

Nie zrelaksowało jej to ani trochę. Zatem usiadła i wzięła się do pracy. Przez pierwszy kwadrans tylko czytała, potem przystąpiła do dzieła. Najpierw przetarła wszystkie metalowe powierzchnie kwaskiem cytrynowym, co jednak dało tylko połowiczny efekt. Przyszedł czas na aceton, kiedy ktoś do niej podszedł.

– Pani major, byliśmy umówione na czesanie.

Spojrzenie w te najśłodsze, kobiece i bajkowo kontrastujące z rzeczywistością oczy nie było łatwe. Jednakże jakąż Panią Jeziora by była, zląkszy się takich wyzwania?

– Ojej, faktycznie. Bardzo cię przepraszam, ale zupełnie mi to wyleciało z głowy i... nie za bardzo jestem w nastroju. Myśli tak brutalnie szarpią mi nerwy, że chyba włosy zaraz wszystkie wypadną.

– Proszę się nie przejmować, nic nie ucieknie. Ale na nerwy mam jeszcze lepszą pomoc od zwykłego czesania...

Podeszła całkiem blisko i samą końcówką puszystego ogona otarła bok pani major, gdzie nie sięgał mundur. Zakreśliła okrąg wokół znaczka, a potem zamruczała jak kotka. Blackpool spłonęła rumieńcem, a ciepło rozchodzące się z policzków szybko rozlało się wszędzie, nawet po koniuszek ogona. Było to przyjemne, kojące i prawdziwie obezwładniające. Czuła, że stawianie oporu byłoby głupotą i zwykłym tchórzostwem. Nie odrzuca się takich okazji, takich zaproszeń! Równie dobrze mogłaby już teraz ściąć włosy i wstąpić na ścieżkę irracjonalnej ascezy. Wpojony jej w domu konserwatyzm był teraz słaby, jak nigdy wcześniej. Nawet myśl o paskudnie purytańskim ojcu sam skryła się we mgle czegoś rozkosznie różowego i miłego. Nie chciała niczego innego, jak rzucić ten miecz do bajora i na chwilę zapomnieć o wszystkim! O wojnie, stresie, dowodzeniu, inspekcji, czy liście do Twilight! Chciała zrobić coś tylko dla siebie! Absolutnie i niezaprzeczalnie wartego tego! A ta kłacz pełna gracji niczym tajemniczy kirin, miała tak kojący tembr głosu, niczym słodki miód lub mrużenie kota. Gruchanie uroczego gołąbka... a delikatności jej kopyt nie dało się już do niczego przyrównać.

Ale i tak odmówiła.

– Dziękuję. Ale to nie jest właściwa chwila. Jak uporam się z tym mieczem, to mam jeszcze wiele do przemyślenia.

– Pani o wiele za dużo pracuje! Przecież i tak teraz siedzimy i czekamy bez końca... i bez sensu...

– Pettingair, bardzo doceniam wszystko co dla mnie robisz. I masz u mnie imponujący dług wdzięczności. Lecz zaufaj mi. Proszę...

Młodsza klacz zamiast zasalutować lub po prostu odejść, skłoniła się przed Blackpool jak przed księżniczką. Oficer trochę zamurowało i nie zdołała zareagować, a po chwili stylistka się oddaliła. Pozostawało tylko pokręcić głową i wrócić do pracy...

– Pani major! Pani major!

Tego było już za wiele nawet jak dla dystygowanej panny z dobrego domu.

– Masz ci los! Czy ja nie mogę mieć chociaż kwadransa, aby poukładać sobie w głowie ten haniebny śmietnik, w jakim się znajdujemy?

Leciał do niej rozpalony goniec, a w dole biegła przerażona Sunnyfarewell. Ponieważ nie miała szans dogonić pegazich skrzydeł, w końcu przystanęła i aktywowała róg, który objął słonecznym nimbem jedno z kopyt lotnika. Ten zakoziołkował w powietrzu i stracił siłę nośną, twardo lądując tuż pod kopytami major. Podciągnęła kopyta bardziej z chęci uniknięcia ubłocenia, niż ze strachu. Nowoprzybyły okazał się młodą klaczą w mundurze Luftmare z patkami Maremachtu. Miała na sobie gogle lotnicze, które przyciskały do czoła pozlepiane, biało-lawendowe włosy.

– Pani major...

– Próbowałam ją powstrzymać, ale sama pani widzi – Sunnyfarewell rozłożyła bezradnie kopyta, nie podchodząc bliżej. Blackpool odmachala jej na znak, że nic się nie stało.

– Proszę meldować, słucham.

– Pani major... przysyła mnie generał Typhhoov. Chce się z panią spotkać, ale tak ... mało oficjalnie. Co przekazać?

Dowódca 3. Dywizji Pancерnej, która dostała łomot podczas pierwszego szturmu na Fillydelphię? Czemu do mnie, a nie do Königstigra?

– Oczywiście, że spotkam się z panem generałem. Zapraszam do siebie. Zdążyłam już w okolicy poznać kilka kątów...

*

4 kwietnia 1272

Las Oliv, Oakmill Town, 70 km od Fillydelphii

20:30

Po raz kolejny wystawiono na próbę jej pewność siebie. Nowoprzybyły generał wyglądał, jak żywcem zdjęty z ulotki satyrycznej o wysokich rangą wojskowych. Czerwona sierść, ciemnoszara grzywa z ogonem, a na znaczkach skomplikowany herb. Dało się na nim dostrzec uskrzydłone słońce otoczone podmuchami wiatru. Miał spory brzuch, zakręconego wąsa, podłysiałą głowę i co więcej, kazał przed sobą otwierać drzwi limuzyny. To też było znamienne. W okresie tragicznych braków w parkach maszynowych i w zaopatrzeniu, zamiast wziąć oszczędną terenówkę pokroju Horcha, on wciąż woził się luksusowym autem i obnosił z czarną laską, na której gałce widniało złote, uskrzydłone słońce.

Choć cierpiał na wyraźną nadwagę, ogromne skrzydła sprawiały wrażenie dość silnych, aby przetransportować taki ciężar. Gdyby założył maskę z ptasim dziobem i jakkolwiek zamaskował tylne kopyta, z powodzeniem udawałby gryfa.

Blackpool salutując przed nim znowu poczuła się jak małe dziecko przed górującym nad nią nauczycielem.

– Nie tutaj – zgasił ją. Bas miał również jak kabaretu. – Goni mnie czas i szkoda go tracić na umizgi na oczach podoficerów.

Stojący z całym oddającym honor sztabem Corsair spąsował, więc major czym prędzej zaprowadziła starego pegaza do małego sadu nieopodal wierzby płaczącej, gdzie pod rozłożystą gruszą ustawiono stół i dwa krzesła polowe. Najpierw obawiała się, że generał wzgardzi niskim poziomem komfortu, lecz potem przestraszyła się, że lekki mebel zarwie się pod jego zadem. Na

szczęście nic złego się stało, a ona jedynie jeszcze bardziej poczuła się jak karzeł. Co gorsza, choć koleś wyglądał na typowego krążownika salonowego, to jego pierś dzwoniła medalami niczym zbroja rycerska. Poczuła iskrę zazdrości. Sama zdobyła ledwie kilka orderów, siedząc na pierwszej linii frontu i wielokrotnie zmywając ze swoich ubrań krew, nie zawsze cudzą.

– Nie mam tutaj herolda ani nawet ordynansa – powiedział patriarchalnym basem ogier. – zatem sam się przedstawię. Jestem hrabia Typhoov, z rodu Windson. Najstarszego skrzydlatego rodu arystokratycznego Equestrii.

– Blackpool... z rodu Pool – odparła, czując po raz pierwszy lekkie zażenowanie z powodu brzmienia swego imienia i nazwy rodowej. W „Królewskim Herbarzu Wielkiej Equestrii” Windsonowie byli faktycznie grubymi szynchami, które odciskały swoją obecność prawie we wszystkich zawirowaniach dziejowych, stojąc murem za Celestią. I tylko jeden raz wydarzył się wypadek, przez który księżniczka wykluczyła ich z grona Najwierniejszych z Wiernych.

Tutaj Blackpool miała przewagę. Od kiedy jej przodek, kontur Greenpool, w 378 roku złożył hołd lenny Celestii, powiernicy tajemnic sadzawki zwanej Okiem ani razu nie rzucili cienia na swą lojalność. Dla niektórych musiało to być bardzo uwłaczające.

– Wiem. Niegdyś przyjaźniłem się z twoją matką, Reflecting Pool. To nieodżałowana strata. Nigdy nie rozumiałem, co widziała w twoim ojcu.... Tym tam...

– Też tęsknię za mamą – przerwała, aby nie dowiedzieć się czegoś, na co zupełnie nie miała teraz ochoty – To jej wychowaniu zawdzięczam swoją determinację.

– Zaprawdę godne uznania. Zapali pani?

– Z całym szacunkiem ale podziękuję. Nie lubię też, jak w moim towarzystwie się pali.

– Ja też wielu rzeczy nie lubię. Na przykład, jak major mi próbuje czegoś zabronić. – stwierdził pegaz, zaciągając się głęboko. Mimo wszystko dym jednak wypuścił nie w stronę Blackpool, a w przeciwną.

– W czym mogę panu generałowi służyć, zatem? – zapytała, chcąc okazać jak największą obojętność. Wkurzały ją upokorzenia ostatnich czasów i nie zamierzała dawać satysfakcji jakiemuś pokrytemu medalami staruchowi.

– Spokojnie, młoda damo. Przychodzę tutaj jako sojusznik. – wyjął z kieszeni ostatni brakujący element swego przebrania z pocztówki. Był to mały monokl na szczyrołotym łańcuszku. – Nie wiem, co się dzieje w Canterlocie... Czy znowu wsadzili wszystkich

sztabowców do pociągu i zrobili mu testy zderzeniowe... ale w każdym razie jakość współpracy bardzo im opadła.

Ale mi arystokrata... przy damie takie określenia...

Chwycił w zęby swoją laskę i zaczął rysować na piasku mapę wybrzeża.

– Fillydelphia jest naszym głównym celem. Choć Manehattan wydaje się ledwie machnięcie szydłami od nas, to broni go cały batalion przeciwpancerny. Trochę wątpię, czy się poddadzą, póki nie padnie Fillydelphia, więc wyzwalając ją de facto zdobywamy dwa miasta. Manehattan jest ponadto na pewno zaminowany, więc wszelkie próby połknięcia go w tak zwanym międzyczasie to parszywy pomysł. I drogi. Absolutnie nie warto tracić nawet jednego żołnierza na zdobywaniu tej kupy gruzów.

Blackpool łzy napłynęły do oczu na myśl zrujnowanego, zrównanego z ziemią Manehattanu. A to przecież było tak ogromne, wspaniałe miasto!

– Bezwzględnie jesteś potrzebna TUTAJ! – zaakcentował to słowo wbijając laskę w ziemię. – Twoja grupa bojowa zaangażuje początkowo ich obronę na północy. Chciałbym, aby to wyglądało jak zupełna pokazówka, mająca jedynie odwracać uwagę. Niech oni uznają się za cwańszych i skupią się na moim ataku na południu. Moje siły są znaczne, ale brakuje im weteranów z Kryształowego Imperium, którzy służą pod tobą. Kiedy na południu zacznie się przepychanka, ty pokażesz czerwonym, że są głupszy od patykowilka. Wprowadzisz do walki wszystkie siły, w tym ciężkie czołgi do przełamania, a potem spotkamy się pod Meadow Brook i osobiście podziękuję ci za wzorową współpracę. Pytania, panienko?

Co za jaśnie oświecony palant!

– Dwa. Dlaczego nie omawia tego pan z moim przełożonym, generałem Königstigem?

– Bo ty masz to, a on nie – wskazał na jej pochwę od miecza. – To nie do pomyślenia, aby hrabia ustalał plan jak równy z równym z jakimś łapserdakiem herbu tobołek i kijek. Z jakimś plebsem, zwykłą szkapą z oślej łączki. O wiele sensowniej jest współpracować z przedstawicielem rodu starszego od samej księżniczki. Nawet, jeśli to tylko patykorożec.

Nawet nie drgnęła mu powieka. W innej sytuacji byłaby oburzona i zapewne zaprotestowałaby, ale znając naturę swego szefa, to nie miała argumentów.

– Dziękuję. Zatem drugie pytanie: o jakich ciężkich czołgach przełamania mowa? Mój przetrzebiony batalion to zbieranina panzer czwórek, Stugów, Marderów i Nashornów.

– Trzymaj kopyto na pulsie, gdyż bardzo liczę, że pojawi się dla ciebie możliwość ściągnięcia kilku Tygrysów wracających z długich napraw. Będą się o nie bili wszyscy generałowie, ale to imbecyle chcący udekorować własną pierś medalami – miała nadzieję, że nie dostrzegł jej zniesmaczonego spojrzenia skierowanego na jego pierś. – Nie rozumieją, że walka o medale skończyła się dwudziestego drugiego czerwca 1270. A teraz walczymy już tylko o to, aby ten kraj jakkolwiek wyglądał po tej przeklętej wojnie. Ale muszę ich zrozumieć. Jak ktoś wypadł mułowi spod ogona i nie wie, w jakim mieście mieszkał jego pradziadek, to jest zapewne bardzo niedopieszczony i potrzebuje tych orderów. Szczególnie, że pośród nas jest taka osoba. Bardzo to przykre, gdyż ona wyraźnie przekłada portfolio nad idee i to, co według księżniczki najważniejsze, a więc Harmonię i Przyjaźń.

Pokiwała głową, czując, że wie o kim mowa. Kto odczuwa tak silny głód odniesienia sukcesu.

Spąsowiała wbrew swej samokontroli.

*

4 kwietnia 1272

Sztab 1. Dywizji Pancernej, miejscowość Longfur

20:44

– Generał Königstiger jest zajęty!

– WYPIERDALAJ W PODSKOKACH!

Adiutant poderwał się tak szybko, że oderwał mu się guzik i wystrzelił w stojącą przy jego biurku lampkę. Metalowy krążek odbił się z brzękiem od sfery i zrykoszetował prosto mu w twarz. Klacz zaklęła i widząc, że nie będzie z tego głąba pożytku, sama postanowiła utorować sobie drogę.

To nie były ciężkie drzwi gabinetu Dorniera, a zwykła sklejka. Dlatego nawet przy swoich mikrych rozmiarach Depicted Picture była w stanie je kopnąć z taką siłą, że zatrzęszczały

jak od uderzenia tarana. Wpadły na ścianę i urwały z górnego zawiasu, a spod wbitej w tynk klamki wystrzeliły odłamki farby.

Tymczasowy sztab pierwszej dywizji pancерnej ulokowano w częściowo zrujnowanej szkole wiejskiej. Choć sala gimnastyczna i kilka klas lekcyjnych dostało pociskami artyleryjskimi, przetrwała część administracyjna, czego właśnie potrzebowano najbardziej. Ponadto ocalały wodociągi i ogrzewanie, więc wybór obiektu zdawał się najrozsądniejszy.

W gabinecie dyrektora ulokował się sam dowódca jednostki gdyż tutaj znalazły się czerwone dywany i puchowe fotele. Dla jednorożca stanowiło to bardzo istotny szczegół. Za dużym, dębowym biurkiem siedział Königstiger i delikatnie sącył różany napój z malutkiej karafki. Pomny jego mocy nie pozwalał sobie na nieostrożność.

– Co do... O RANY!

– WYPAD ZZA TEGO BIURKA I NA KOLANA!

Mała klacz przypominała bardziej ifrita i zdawała się dosłownie płonąć. Kiedy jednym ruchem wskoczyła na stół, aby spojrzeć z góry na ogiera, ten odchylił się do tyłu na krześle i przewrócił. Leżąc na wznak na oparciu nie śmiał poprawić tej pozycji. Wbił przerażone źrenice prosto w szalejące pożogą oczy przełożonej.

– Wyobraź sobie, że ktoś próbuje mnie tutaj zrobić w konia – powiedziała ciężkim od gniewu tonem. – Taka dziwna, nieprzyjemna i przewrotna historia. Odwiedzam jeden z wielu odcinków frontu i widzę tam młodą major, która mając w kopytach gównu dała radę ukrećić z niego całkiem porządny bicz na wroga. Wzruszyłam się i oddałam jej swój order, bo aż tak to, kurwa, mną trzepnęło. W ten sposób zrecenzowałam tamtą jednostkę i jej robotę. Może nie w skali od jednego do pierdyliarda, ale zawsze. A ledwie trzy tygodnie później jakaś długonoga, betonowa czapla stwierdza, że mój osąd mogę sobie pod ogon wsadzić i ona wie lepiej! Zdziera order z piersi młodej major, wsadza w torebkę strunową i wysyła do utylizacji!

– Przecież ona nie zerwała żadnego...

– Ooo! Świetnie, że wiesz o co chodzi. Zajebiście, oszczędzę sobie obijania języka o zęby. A teraz wstawaj. NO BACZNOŚĆ, ty tępy bawole!

Ogier wyprostował się i choć niemalże przewyższał teraz stojącą na stole klacz, to wcale nie wyglądał bardziej majestatycznie. Wciąż kulił się w obliczu jej płomiennego wzroku, a białe futro zdawało się ciemnieć, jakby osmolone.

– Powiedz, co pułkownik Store Krage mogła przez to powiedzieć? Że może nie umiem samodzielnie i trafnie ocenić kondycji, zasług i potencjału jednostki liniowej? No, odpowiedz, ty rogaty psie! Czy to miała na myśli?

– Nie, ma’am!

– A może w ten subtelny sposób wytknęła braki w moim wykształceniu, zanegowała trzy fakultety ze sztuki wojennej, pracę doktorską o współpracy różnych rodzajów wojsk? Może moje wykształcenie zdążyło się zdezaktualizować?

– Nie, ma’am!

– O! A to może chodziło jej o moją nadwrażliwość, skłonność do wzruszeń i może chorobę dwubiegunową, cyklofrenię?! Wszyscy wiedzą, że wystarczy do mnie zrobić słodkie oczka, a ja już jestem gotowa zgodzić się na wszystko, o co mnie proszą!

– NIE! Nie... ma’am!

– To mnie cholernie cieszy, że jednak ktoś tak zasłużony w boju jak ty, uważa mnie za choć symboliczny autorytet! Zatem zapewne zaaprobowaleś mój plan wyzwolenia Fillydelphii! A był pierwotnie taki, aby rzucić waszej jednostce jakiegokolwiek dostawy... nie wiem kurwa co, ale cokolwiek! Chociażby kuce arabskie obite blachą! I aby młoda major pod twoim zwierzchnictwem poprowadziła wyzwolenie natarcie, które z powrotem zatknie flagę za uchem Meadow Brook. Albo wsadzi jej w dupę, aby było trochę śmiechu na wojnie! Haha, żołnierski żart! No, śmieć się, smutasio! Czyżby moje poczucie humoru do ciebie nie trafiło?!

Wygiął usta w coś, co przypominało pośmiertny skurcz twarzy.

– Ale widzę, że trochę jej tego pozazdrościłeś i chciałeś jej grupę weteranów wysłać do sanatorium. Wiedz zatem, że zrobię teraz zupełnie odwrotnie! Oddam jej twoje zagony. Lepiej znajdź sobie odpowiednio wysoką drabinę, aby móc z niej obserwować pole bitwy, gdyż twój czołg dowodzenia zmieni wkrótce właściciela. I lepiej nie wtykaj chrap w tę dziurę, bo coś ci je upierdoli!

– Ale... ja... ona... nie zostanie dowódcą dywizji?

– Czy jesteś jakiś ułomny?! Matka na tobie usiadła, jak byłeś dzieckiem? Potrzebuję doświadczonego, bohaterskiego oficera na linii frontu, a nie pierdzącego w mapy kalafiora w jakiejś kancelarii sztabowej.

Pochyliła się i nienawistnie zmrużyła oczy.

– Od polityki w tym wojsku jestem ja, a moi oficerowie mają walczyć i wyzwalać ojczyznę w okopach, w czołgach i na ulicach miast. Zatem odpierdol się od nich i rób swoje! Jak rozczarowanie ci ścisnęło jelita, to trzeba było najpierw napisać do mnie! A nie udupiać mniejszych od siebie!

Ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo ironicznie, lecz Königstigerowi nie było do śmiechu. Wręcz nieco się rozzłościł.

– Nie chciałem udupić Blackpool! Ona na serio niemalże doprowadziła do anihilacji grupy bojowej!

Tym razem Depicted popatrzyła na niego jak na rozplaszczonego robaka, z którego szczątków wylewają się półpłynne, bezkształtne wnętrzości. Z trudem przełknął ślinę i sam tak się poczuł, na co generał uśmiechnęła się jak pokerzysta rozwijający wygrywający wachlarz:

– A czy ja choć raz wspomniałam, że to o nią chodzi? Ale tym bardziej mnie cieszy, że się tak w lot rozumiemy na jakimś mesmerycznym poziomie. Mam nadzieję, że gdy po wojnie zajmę się tą sprawą, twoje zeznania będą równie samokrytycznie szczere. Spocznij. I już nie wkurwiał mnie więcej.

*

4 kwietnia 1272

Canterlot

23:15

Już chciała zapytać, dlaczego za miejsce spotkania wybrał znajdującą się na uboczu małą wieżę, nieco zaniedbaną i nieużytkowaną. Weszli na sam szczyt, gdzie jedyną barierą przed upadkiem był niski krenelaż, który pamiętała jeszcze z czasów, kiedy miała zdrowe oczy. Odczuwając swobodnie hulający dookoła niej wiatr, czuła się bardzo nieswojo. Nie mogąc widzieć krawędzi wieżyczki, odnosiła wrażenie, że wiatr celowo obejmuje ją czule i delikatnie, jedynie aby uspić jej czujność, a następnie zaciągnąć na skraj muru i zrzucić w przepaść.

Zacisnęła zęby mocniej na ogonie Nocturnalą. Tym bardziej obawiała się sama otwierać usta, aby o cokolwiek pytać.

Jednak w końcu, gdy stali tutaj już dłuższy czas, jej niecierpliwość wzięła górę nad niepokojem. Ich wspólny czas była dawkowany zakraplaczem i nie życzyła sobie go marnować na bezproduktywne stanie na zimnej ekspozycji.

– Nocto... o co chodzi? Dlaczego tutaj mnie przyprowadziłeś? – zapytała w końcu.

– Bardzo żałuję, że nie możesz tego zobaczyć, ale dzisiaj jest przecudny księżyc. Chciałem dobrze zapamiętać twoją sylwetkę na jego tle, przed rozpoczęciem tej rozmowy.

– Zapam... Nocturnal! Czy ty...

– Tak. Luna narzuciła gotowość do wymarszu w każdej chwili. Dziś widzimy się ostatni raz, nim nie zacznę spać z karabinem pod głową.

– Miałam naiwną i jakże złudną nadzieję, że ten dzień nigdy nie nastąpi!

– Naiwną jak fabuła twoich ulubionych oper, najpiękniejsza? – próbował być dowcipny, ale natrafił tylko na jej milczenie. Przytulił ją bardzo mocno, o wiele silniej, niż z reguły o to prosiła. Oboje stali się teraz nauczyć na nowo kształtów swoich ciał, aby jeszcze lepiej się nawzajem zapamiętać. Tak jakby nigdy wcześniej nie spędzali ze sobą czasu i to był ich pierwszy raz. Jak w takich okolicznościach nasycić się sobą? Jak nacieszyć?

– Ta sceneria jest właśnie jak w takiej operze. Księżyc, wieża... i żegnająca się para... On wyrusza na wyprawę wojenną, ona zostaje samotna w zamku...

– Przestań! – powiedziała przez łzy i w tej samej chwili wybuchła płaczem. Nie starczało jej sił, aby objąć go satysfakcjonująco. Wodziła po całym jego ciele swoim ogonem, jakby próbując stworzyć w umyśle idealny odlew lub odcisk.

– Sweetie... musimy być dzielni – powiedział smutnym, poważnym tonem. – Nie możemy udawać, że świata wokół nas po prostu nie ma. Ignorować go i pogрузić się w wygodnickim fatalizmie.

– Co... co masz na myśli? – szepnęła, a on nie odpowiedział od razu. Z munduru wyjął chusteczkę, którą wytarł jej łzy przesiąkające przez opaskę.

– Musimy przygotować się na najgorsze. Sweetie... ja jestem spadochroniarzem. Nie wyruszam na front, aby ubezpieczać przeprawę lub dowozić zaopatrzenie. Zostanę rzucony w najgorętszy bój, na misję o największej dla Equestrii wadze. Tam nie będzie taryfy ulgowej.

– I chcesz, abym ot tak zaakceptowała, że umrzesz? Czy to chcesz mi przekazać? Do tego przekonać?

– A czy mam inny wybór, najdroższa? Mój najśłodszy dzwoneczku, najpiękniejszy czarze dnia? Który rozświetlił me mroczne życie i dał najwspanialsze chwile, nieporównywalne z niczym innym? Jesteś dla mnie światłem, na które nie zasłużyłem. Nie mogę wprost uwierzyć, że to właśnie mnie trafiło się takie szczęście.

– Ech... dam ci coś jeszcze – pociągnęła nosem, a potem aktywowała róg. Po chwili pojawiła się na jego końcu zielonoszara gwiazdka w dawnym kolorze jej oczu, a potem uniosła się i dotknęła twarzy ogiera. Wniknęła w niego i rozbłysła od środka, co zagrało w jego oczach na chwilę zmieniając kolor jego tęczówek.

– Nie jestem zbyt dobra w tak zaawansowanych zaklęciach – szepnęła zawstydzona i wzruszona jednocześnie. – Ale to moje błogosławieństwo. Abyś wrócił do swej ukochanej, która będzie wiernie wyczekiwać twego powrotu. Każdego dnia, każdej nocy będę gotowa, aby ciebie przyjąć, obmyć rany i ukorzyć ból. Wdzięczna za to, że własną piersią zasłaniasz mnie od zła, czyhającego u bram. Przyjmij też to, proszę...

Zdjęła jeden ze swoich kolczyków w kształcie nut. Podała mu, a on przyjął go, całując czule jej kopyto, z ogromnym szacunkiem i namaszczeniem godnym królowej.

– Nie jestem go godzien, aby założyć ten skarb na własne ucho. Lecz dziękuję, złożę go tuż przy sercu.

Wyjął z kieszeni złoty zegarek z dewizką, w do którego planował schować pukle włosów najważniejszych kłaczy je go życia. Póki co były tam tylko dwa kosmyki, czyli bordowy od Midnight Lullaby, szkarłatny od Fullmoon. Teraz zagościła też filigranowa nutka.

W sumie... po co czekać...

– Sweetie... mam jeszcze jedną prośbę... o pukiel twoich włosów, abym mógł zabrać ze sobą choć drobny ułamek twego czaru.

– Ależ nie krępuj się! Jakby to mogło coś zmienić, oddałabym każdy jeden włos swego ciała!

Wyjął mały kordzik. Krótki świst ostrza wysuwanego z pochwy nasunął mu wiele ostatecznych myśli, w tym tą, że tym jednym cięciem tak naprawdę nie odcina kawałka grzywy, a tnie jakąś wież lub wręcz ... rozdziela ich trwale. Zbliżenie śmiertelnoścnego ostrza do jasnej,

nadobnej sierści jeszcze bardziej go przytłoczyło symboliką. Nie było jednak innego wyjścia, jak dokonać jednego, czystego cięcia.

Schował z nabożnością pukiel w zegarku. Wcale nie poczuł się lepiej z tego powodu. Nawet księżyc wydał się jakiś zimny i nagi, niczym kucyk ogolony do gołej skóry. Przytulił mocno klacz, a z każdą kolejną sekundą coraz bardziej do niego docierało, co mogło na nich oboje czekać.

*

5 kwietnia 1272

Niebo nad Fillydelphią

9:10

Ponieważ brakowało samolotów, to wsadzili go w pociąg. To zabrało trochę czasu, tak samo jak odprawy, zapoznanie z aktualnym sprzętem, oczekiwanie na poprawę pogody i wszystko inne. Jego wylot opóźnił się aż do ranka piątego kwietnia. Miał nadzieję, że znajdzie okazję być tak pożytecznym, jak życzyła sobie tego Spitfire. Nie wiedział, jakimi dokładnie pobudkami kierowała się generał, ale mimo to wolał czuć wobec niej wdzięczność i na wszelki wypadek wypaść jak najlepiej, aby się zrewanżować za nie rozgrzebywanie sprawy poprzedniego zadania zbyt głęboko. W końcu musiała się dowiedzieć, że nie odebrał on żadnego rozkazu oraz, że zawdzięcza ratunek tylko zbiegowi okoliczności.

Cele główne:

-Eskortować transportowce dokonujące zrzutów nad terytorium miasta

-Zniszczyć wszelkie siły n-pla

-Uzyskać kontrolę powietrzną nad obszarem miasta w celu umożliwienia rozwijania późniejszych operacji zrzutowo-desantowych

Cele poboczne:

-Dokonać rozpoznania sił n-pla biorąc pod uwagę przedłużający się brak dawnej aktywności mogący oznaczać oszczędzanie sił w celu kontrataku na naszą aktywność.

Rozkazy brzmiały jasno i przynajmniej za to mógł być wdzięczny dowództwu, że nie jest to kolejny podejrzaný bankiet, a normalne zadanie bojowe.

I dostali całą eskadrę przechwyconych Mustangów! Wszystkie uzyskały morderczo wyszczerzone paszcze Nightmare Moon na dzioby, a na kadłuby kolory karciane.

– In nomine noctis! – szepnął i otworzył oczy, które niemądrze zaciskał od paru chwil. Potrzebował jednak na chwilę odciąć się od koszmaru, który co jakiś czas mu się przypominał. Widok rannej Cadance, do której zabierał się czerwonoarmista, a potem jej gniew. Nie! To nie były rzeczy przeznaczone dla jego oczu! Żaden śmiertelnik nie zasłużył sobie na miłość bądź nienawiść i tak skrajną furię któregośkolwiek z alicornów. Ledwo wytrzymał tamtą scenę, lecz doświadczony minionej nocy sen wciąż nie chciał mu odpuścić i brutalnie przywoływał pod powiekami kolejne myśli i okrutne obrazy.

– Nie! Nie myśl o tym!

Próbował ratować się wspomnieniem swojej ukochanej, ale i tutaj czały się pułapki. Jeszcze chwilę temu miał ochotę ją zabić, zresztą z wzajemnością. Jednak po raz kolejny udowodniono mu, jak blisko siebie leżą miłość i nienawiść, że wyrastają z jednego konaru, niczym dwa kwiaty na jednej gałęzi. Cała niechęć została przelana w sympatię. A może to nadal to samo naczynie, a jedynie etykieta się zmieniła?

Nie był poetą, więc postanowił dalej nie wnikać, szczególnie, że wyczuł we własnej metaforze jakiś podtekst, który zasadził nieświadomie. Nie rozumiał go jednak.

Pomyślał o rodzicach. Słyszał, że większość mieszkańców Manehattanu wyprowadziła się do Fillydelphi, gdyż zniszczone miasto nie nadawało się do życia dla licznego stada miliona kucyków. Spodziewał się zatem, że jego rodzice gdzieś byli, tam w dole. Może wzięli udział w powstaniu? Czy nic im się nie stało? Nie mógł mieć pewności, ale wolał nie wnikać, aby jeszcze bardziej się nie dołować.

Otworzył w końcu te oczy i tym razem w pełni świadomie zlustrował pożar, który rozpościerał się w nieodległej perspektywie.

Fillydelphia płonęła.

Doszły do niego plotki o niezwyklej bitności Dzikiej Armii, o tym, jak walczą o każdy dom, nierzadko bez amunicji i dysponując jedynie bronią białą. Przy technicznej przewadze

Sombryjczyków nie mieli prawa bronić się nawet dwóch dni, a powstanie trwało już prawie tydzień.

To była gehenna, ale tytaniczny wysiłek i zmaganie się ze sztormem czerwonego oceanu przyniosło efekt. Powstańcy dostrzegli niemiłosiernie daleki blask latarni morskiej, niczym zaledwie lichą gwiazdę, punkcik na horyzoncie. Znaleźli się w zasięgu Luftmare.

Brave Wing dostał rozkaz poprowadzić pierwszą, nieco rekonesansową grupę. Cztery eskadry po osiem Ciotek Ju osłaniane przez cztery Mustangi miały nadlecieć na zatapianą przez własną krew Fillydelphię i dać im potężny łyk powietrza.

Nie miało to jednak być łatwe.

– Bandyci na dziewiątej trzydziści! – zarządził dostrzegając niebezpieczeństwo – Zwrot bojowy, atak z wysokiego pułapu typu „podskok”.

Cała myśliwska eskadra wykonała nakazany manewr i ustawiła się frontem do nacierającego wroga. Sombryjczycy już z daleka rozpoznali wielkie i prostolinijne kształty Junkersów Ju 52. Były to łatwe i smakowite kąski dla dowolnego myśliwca, dlatego na barkach Brave’a i innych spoczywała podwójna odpowiedzialność. Nie mogli nawalić, bo wtedy na pewno dojdzie do powietrznej masakry, a powstańcy zginą z głodu.

Cztery Mustangi na osiem nowych samolotów. Wprawne oczy Brave’a podpowiadały mu, że były to zapewne Jakowlewy 9, maszyny niezwykle smukłe i dzięki swej długości dość charakterystyczne. Jednak bardzo groźne i nawet Focke-Wulfy nie przepadały za takimi starciami. Jedynie Messerschmitty 262 czuły się w miarę pewnie w pojedynkach z nimi... ale kula to kula. Zabija, obojętnie czy wystrzelona z odrzutowca, czy I-16.

Stawali do walki wiele razy. Brave widział na tej przeklętej wojnie już wszystko. Denerwował się jak zawsze, ale i doskonale wiedział, co robić, więc stres był jakiś taki przytłumiony, jakby pochodził z dnia wczorajszego. Spokojnie podnieśli pułap i widząc, że Sombryjczycy robią to samo, cierpliwie nie zmieniali taktyki. Wystarczyło chwilę poczekać, a na pewno dadzą się złapać w pułapkę. Armia Czerwona straciła swych doświadczonych pilotów i na niebie wokół Fillydelphii powinni pojawić się pośpiesznie przeszkoleni nowicjusze w ledwo co załatanych ostatnich latałkach.

– Teraz! – zarządził i wszyscy wcisnęli gaz do dechy, równocześnie nieco się obniżając. Mustangi błyskawicznie podskoczyły do przodu, gdyż obniżywszy nosy nie musiały tak wspinać się ku niebu. Sombryjczycy zareagowali z kilkusekundowym opóźnieniem, które okazało się zgubne. Luftmare odpaliło wszystko, co dwulicowe gryfy zamontowały na pokładach P-51D. Zagrały działka i wypluły całą swą nienawiść w miękkie brzuchy poszyć Jakowlewów.

Zmęczenie dwuletnią wojną, zemstę za Manhattan, Harasshorsk, Kryształowe Imperium, a teraz Fillydelphię.

Nienawiść rozorała czerwone rogi jak noże. Cztery Jakowlewy okryły się chmurami odłamków i zasypujących przestrzeń kawałków aluminiowych blach, po czym zaczęły zmierzać ku ziemi, straciwszy całkowicie swoją nośność. Piloci zostali zmuszeni czym prędzej się ewakuować. Otwierali kabiny i wyskakiwali w powietrze, gorączkowo machając skrzydłami. Jeden spojrzał przed siebie i wrzasnął, widząc coś, co zmroziło go do szpiku kości. Nie pochodził z Equestrii i nie wiedział, co tutaj się stało ledwie osiem lat temu. Jednak groźba wiecznej nocy była żywa w legendach na całym świecie i należała do historii opowydanych przy świecach, gdy z niepokojem spoglądało się na zamknięte drzwi i okna.

Pełna ostrych zębów paszcza Nightmare Moon niemalże doprowadziła go na skraj zawału.

Pozostałe Jakowlewy spróbowwały nakierować się na Mustangi, ale nie miały tak potężnych silników. Brave Wing i reszta wykonali zwrot bojowy, wymykając się czerwonej percepcji. Znowu wystrzelili w górę, z czym P-51 sobie poradziły, jakby grawitacja ich nie dotyczyła.

Czerwoni nie wytrzymali. Nawrócili i przeszli w rozsypkę, po czym każdy poleciał w innym kierunku, definitywnie uciekając z pola walki. Brave Wing jednak nie kazał ich ścigać. Oni mieli inne zadanie.

– Doskonała robota! – usłyszeli gratulacje od dowódcy grupy transportowej. – Za pięć minut będziemy nad strefą!

– Dziękuję w imieniu eskadry! – odpowiedział ogier.

Nie cieszyli się jednak długo spokojem. Artyleria przeciwlotnicza odezwała się kiedy tylko miasto stało się rozpoznawalne, z tej wysokości. Dały o sobie znać baterie ustawione na południu w okolicy czegoś, co wyglądało na lotnisko. Powietrze zaczęło trząść się niemalże jakby było ciałem stałym. Wszędzie zaroilo się od obłoczków rozpryskujących się pocisków odłamkowych.

Nie mogli zwiększyć pułapu, gdyż wtedy zrzuty okazałyby się skrajnie niecelne. Dlatego Brave wpadł na inny pomysł.

– Napieprzać w pelotki! Lot koszący! Damy czas ciotkom na zrzucenie zasobników!

– Tak jest! – odpowiedziała Skalska w swym śpiewnym akcencie. – Skrzydłowy! Bierzemy lewą stronę pasa!

Rozdzielili się na dwie grupy, a potem szybko zaczęli obniżać pułap. Solidna konstrukcja Mustangów wytrzymywała wszystko ze stoickim spokojem, za co byli im bardzo wdzięczni.

Już po chwili wyraźnie dostrzegli długi i betonowy obszar, na którym stało zaparkowanych kilka Ilów-2. Nie to było jednak ich celem. Trochę bardziej na flankach okopano otarczowane osiemdziesiątki piątki, które widząc manewr myśliwców zaczęły obniżać lufy w ich stronę. Nie mieli jednak szans zdążyć.

Skalska zeszła na pułap czterdziestu metrów i otworzyła ogień z działek. Złota struga śmierci jakby z prędkością światła wystrzeliła w kierunku pierwszego działka i zaalała je światłem. Huknęło, a działko eksplodowało w ogniu. Przeleciała tuż nad rosnącym pożarem, aż płomień niemalże polizały brzuch samolotu i strzeliła do następnego stanowiska. Tym razem trafiła nieco gorzej, ale lecący za nią skrzydłowy poprawił i dobił pelotkę.

To samo działko się po drugiej stronie. Tutaj jednak artylerzyści zdążyli obniżyć lufę i odpalić. Brave przeczuwszy to zakręcił beczkę i pocisk o cal minął mu lewe skrzydło. Pęd pocisku wytrącił go z kursu i pomarańczowy ogień musiał ratować się odbiciem od ziemi, lecąc do góry nogami. Gdyby to był ktoś inny, to wpakowałby się w glebę. Podleciał w górę, a wtedy odsłonił cel skrzydłowemu, który pocisnął bezlitosną serię.

Przelecieli nad lotniskiem. Obsługa zdążyła wybiec i zaczęła strzelać do myśliwców ze stacjonarnych karabinów maszynowych, co może nie było zbyt groźne, ale jak miało się pecha...

...dlatego Brave zarządził podskoczenie na wyższy pułap, aby uniknąć ognia lekkiej artylerii p– lot. Spojrzał w kierunku transportowców i z ulgą ujrzał, jak z ich bocznych drzwi wysypuje się rząd spadochronów. Rozpoczęli zrzut! Misja wykonana!

– O, kurwa! – syknął dostrzegając, że jednak nie wszystko było w porządku.

Druga część całego oddziału miała więcej pecha. Aż cztery Junkersy płonęły, a dwóch brakowało. Brave ze zdziwieniem nie zarejestrował żadnych komunikatów o trafieniach ani wołań o pomoc. Najwidoczniej transportowce porozumiewały się przede wszystkim na swoim własnym paśmie.

Długie warkocze czarnego dymu ciągnące się za samolotami były przerażające. Pilot pomyślał, że równie dobrze to on mógłby tak spadać.

Oczekiwał, że ciotki nawrócą i czym prędzej pognają ku własnym liniom. Te samoloty należały do najwytrwalszych, ale teraz wystarczyło je tylko dobić. W każdej chwili artyleria mogła się przegrupować i ponownie wstrzelić w klucz, a ponadto nikt nie dawał gwarancji, że pożar nie rozprzestrzeni się na cały samolot.

Jednak ci ani myśleli spasować. Niepowstrzymanie pokonywali kolejne dziesiątki metrów, nie zważając na pokrywającą im wszechświat chmurę dymu, wieszcząca nadchodzącą zagładę.

Brave zagwizdał z podziwem. To były dopiero jaja ze stali.

– Liczcie mosty! – rozkazał na kanale ogólnym. – Druga grupa zrzuca za trzecim mostem, za dzielnicą Riverside.

Pośród płataniny płonących ulic dawało się zauważyć spokojniejsze rejony. Tam na dużych placach namalowano ogromne, białe okręgi, które z tej wysokości były ledwie kropkami, choć dla doświadczonego bombardiera stanowiły bardzo wyrazisty cel.

Miasto było dziwnie poszarzałe pomimo pełni wiosny. Przy tak ciepłej pogodzie dzięki wysiłkom pegazów i kuców ziemskich winno tonać w zieleni, jednak zarówno parki jak i szeroka wstęga rzeki zdawały się być pokryte ponurym pyłem, jakby krajobraz brał częściowo na siebie ponury nastrój nierównej walki. Malutkie jak porozrzucane kostki do gry domy i kamienice były puste. Po prostu z tej wysokości nie dawało się zauważyć kucyków.

Musieli się zniżyć, a to nasunęło Brave Wingowi pewien pomysł.

– Klucz „Ox” – powiedział w eter. – Trzeba trochę dodać animuszu chłopakom na dole. Ta taka długa aleja z wysokimi domami na dwunastej to Fieldmarshall Alley. Sądząc z gęstości stref zrzutu, to chyba jest pod naszą kontrolą. Przelećcie się tuż nad nią i pomachajcie do dzikusów.

– W odpowiedzi usłyszał chichot Skalskiej, która uwielbiała takie akcje, rodem ze starych legend o pegaziej fantazji. Nic dziwnego, była idealnym potwierdzeniem stereotypu, że wszystkie pegazy są nieco szalone.

Samoloty obniżyły się, a Brave jeszcze dodał:

– Nie róbcie tego, co ja robię!

Raz mu wyszło, więc może i drugi da radę? To może i nie był Focke-Wulf, projektowany przez twórców akrobatycznego Me 109, jednak Mustangi też uchodziły za

szczytowe osiągnięcie technologii awiacyjnej. Czas to sprawdzić, ale tak na serio, a nie w jakimś podręcznikowym pojedynku kołowym z Jakowlewem lub Migiem.

A każdy generał podkreślał, że najlepszą bronią jest morale. Skoro każdy z tych małych pakunków zrzuconych przez Junkersy był kolejnym oddechem dla dławionej Fillydelphii, to i on pomoże przy tym sztucznym oddychaniu.

Zszedł bardzo nisko. Teraz widział całe piekło powstania jak na wyciągniętym kopycie. Ruiny przypominały bardzo Kryształowe Miasto i to pomimo faktu, że architektura nie była w ogóle podobna. Najwidoczniej ruiny zawsze pozostaną po prostu ruinami. Ulice zastawione barykadami, płonące i walące się kamienice, a do tego w niektórych miejscach tłumy na traktach. Tłumy bezradnych cywili, którzy krzatali się tu i ówdzie próbując jakoś utrzymać miasto na powierzchni tego morza krwi. Było jednak też coś, co dodawało otuchy i pozwalało przełknąć gorycz walk. Z wyzwolonych gmachów, a także nierzadko zwykłych czynszówek zwisały biało-granatowe flagi, które swobodnie powiewały na wietrze. Nikt nie pluł na ich widok, nikomu nie groziło rozstrzelanie za wywieszenie banerów. Totalna manifestacja wolności.

A więc warto było! Należało im pomóc wszystkimi możliwymi środkami i to zamierzał uczynić.

Brave zszedł na pułap uliczny. Leciał najwyżej dwadzieścia metrów ponad brukiem, celując końcówkami skrzydeł w okna wyższych kondygnacji. Skupił się maksymalnie, gdyż teraz nie tyle błąd, co po prostu niepełna doskonałość manewrów bezlitośnie przerwałaby jego egzystencję w sposób dość widowiskowy.

Potężna i przerażająca paszcza Nightmare Moon zdawała się chcieć połknąć pierzchające w przerażeniu kucyki na dole. Ale wtedy ktoś z biało-granatową opaską dostrzegł księżycę na jego skrzydłach. Lęk natychmiast przemienił się w prawdziwą euforię. Stawano dęba i podnoszono triumfalnie kopyta w górę, a nawet jakieś pegazy odważyły się podlecieć i improwizować pościg za Mustangiem. Nie słyszał ich, ale doskonale wiedział, co krzyczą. To samo, co krzyczeli grenadierzy na kryształowym froncie:

Luftmare! Luftmare!

Pomachał skrzydłami, czym wywołał potężną falę radości. Leciał dalej, aż aleja nieco skręcała, a on podwyższył pułap, nie chcąc ryzykować zahaczenia o jakąś latarnię. W lusterku

ujrzał kolejny chwalebny symbol. Jakiś jednorożec wystrzelił iluzoryczną, hologramową kotwicę powstańczą, która teraz unosiła się nad miejscem, gdzie zszedł na pułap uliczny. Tak, zdecydowanie Dzika Armia też miała jaja.

– Ox! Przestańcie się popisywać, mamy towarzystwo!

Brave Wingowi zmroziło na chwilę krew. Tak bardzo skupił się na pułapie ulicznym, że zapomniał o swoim zadaniu. Teraz ujrzał, że zbliża się kolejna eskadra niezidentyfikowanych samolotów, zapewne sombryjskich. Osiem sztuk, kierowało się prosto na transportowce, które pozbywszy się ładunku rozpoczęły nawracanie. Nie było czasu na planowanie potyczki, a przez swoją głupotę Brave musiał zdać się na Skalską, która wraz obydwoma skrzydłowymi była wyżej i bliżej nieprzyjaciela. Pegazica prawidłowo ustawiła się naprzeciw wroga i chciała powtórzyć manewr sprzed kwadransa, jednak teraz miała za mało samolotów i mogło nie wyjść.

Pomarańczowy pegaz wydusił z niesamowitego silnika Mustanga wszystko, co wierzchowiec mógł mu zaoferować, jednak i tak się spóźnił. Trójka starła się z ósemką. Nie doszło do żadnych trafień, gdyż Sombryjczycy rozpierzchli się w rój i Luftmare musiało salwować się równie chaotyczną ucieczką, gdyż nagle miało przeciwników dookoła siebie.

Co gorsza, Brave Wing był sam, więc kiedy ujrzał przed sobą aż cztery rozpoznawalne teraz Jakowlewy 9, to zrobiło mu się zimno w kroczu. To śmierdziało porażką i trupem, jego własnym zresztą. Nie umiał przecież latać! Miał cholerną, drewnianą nogę!

Służył tyle czasu i wiele razy musiał spieprzać z pola bitwy, ale dopiero teraz do niego naprawdę dotarło, że może zginąć. Być może to efekt odniesionej rany i przeżytej kolizji z bombowcem.

Zanurkował niczym Stukas w nadziei, że Jaki jak nie dadzą rady, to przynajmniej pomyślą, że to jakiś mustangowy podstęp i za nim nie polecą.

Przeliczył się. Co gorsza, smukłe sylwetki Jaków dziewiątek skrywały pod maską dużo potężniejsze silniki, niż stare wersje. Przez co go dogonili.

Poczuł szarpnięcie i wpadł w niekontrolowaną beczkę. Wrzasnął imię własnej matki, a potem uznał, że stracił ogon maszyny. Normalnym odruchem byłaby ewakuacja, lecz w wirze było to trudne. Obawiał się też zawisnąć na spadochronie, zdany na łaskę lub niełaskę czerwonych sokołów.

Spojrzał w lusterko i z ulgą dostrzegł, że ogon jest cały. Jednak to było marne pocieszenie, gdyż ciągle spadał, a oni mieli go na widelcu. Wystarczy, że poprawią i będzie trupem.

Z całych sił walczył z samolotem, lecz nie był Rainbow Dash lub Dornierem, którzy chyba mieli jakieś magiczne moce kontroli nad maszynami. Mustang nie chciał wyjść z beczki. Spojrzał w lusterko i z zaskoczeniem ujrzał, że jest sam. Sombryjczycy odpuścili!

– Kapitanie, trzymaj się pan. Mam pomysła! – usłyszał Skalską w słuchawkach. Trójka P-51 rozproszyła rój Jaków i zrobiła coś, co było tak szalone, jak szalone są pegazy. Pegazy lotnicy. Pegazy lotnicy i to z cholernej Polkonii, gdzie nie znają znaczenia słowa „granice”. Skalska napuściła czerwone sokoły na powracające eskadry Junkersów. Brave Wing chciał krzyknąć, że to chore, ale wtedy dostrzegł pointę. Junkersy były wolne i beznadziejnie uzbrojone, więc w starciu z myśliwcami stanowiły cel jak kura dla lisa. Ale teraz Jaki działały w pewnej panice, a ciotek było aż trzydzieści! Każda miała w końcu kilka karabinów maszynowych na pokładzie.

W stronę rozproszonych i z lekka zagubionych czerwonońców poleciało parędziesiąt serii skoordynowanych ze sobą. Jedna trafiła i dziewiątka zapłonęła ogniem, a pilot po chwili uciekł z kabiny. Dwa inne samoloty również zatrzęsły się i zaczęły krwawić, lecz tylko nawróciły i uciekły. Próbowwały odpowiedzieć ogniem, ale w efekcie tylko dłużej wystawiały się na strzał i znowu ktoś dostał. To zburzyło morale oddziału i wszystkie Jaki zwały ile sił w śmigłach.

Brave nie miał czasu cieszyć się z uratowanej skóry, gdyż sam dopiero co wychodził ze swojej obłąkanej beczki. Kiedy odzyskał kontrolę nad samolotem, mógł przyjrzeć się swoim statecznikom, które przypominały ser szwajcarski. Stary Me 109 teraz po prostu rozleciałby się od przeciążeń, których nie miały jak znosić podziurawione listwy i ramy. Ale Mustangi były bronią zupełnie innej generacji, za co dziękował gryfickim konstruktorom.

– Wracamy do domu! – rzucił krótko i nawrócił na zachód. Musieli jeszcze dotrzeć na lotnisko, a po drodze czaiły się zapewne kolejne stanowiska p-lot, front i cholera wie co jeszcze.

*

– Dzielne rzuty to na obecną chwilę zbyt duże hyzyko! – stwierdził Dornier jeszcze raz przeliczając straty. – Jeden myśliwiec do genehalnego hemontu lub pewnie do skheslenia ze stanów. Dwa thanspohtowce zdjęte w locie i kolejne dwa nie doleciały. Osiem uszkodzonych, w tym dwa ciężko. Zrzut był chyba celny, ale nas to za dużo kosztuje!

– Ale to był pierwszy raz! – zaprotestował Brave Wing. – Byliśmy zaskoczeni tym wszystkim!

– Oni też. Jutho WWS będzie na was czekać i co wtedy? Ten phosty manehw was nie uhatuje, ani tym bahdziej cienki ogień Ciotek Ju.

– Powtarzam po raz trzeci! To tylko i wyłącznie moja wina! Mój błąd, nieuwaga, która już się nie powtórzy!

– Wiem, pohuczniku! Zachowaliście się jak nieopierzony młokos, któhы chce zaimponować klaczom swoją zabawką! Wiem też, że jesteś doskonałym pilotem i uczysz się na błędach jak mało kto. To jednak niewiele zmienia.

– I co? Nie będziemy ich wspierać? Oni tam zginą bez zrzutów! Sombra ich zadusi!

– Nie powiedziałem, że zwijamy most powietrzny. Nas tak kiedyś hatowano, to i my nie możemy odmówić. Jednak polecimy tam w nocy! Poza wszystkim, należy oszczędzać siły. Czeką nas większa opehacja w najbliższych dniach, kiedy każda sprawna Ciotka Ju będzie wahta w złocie tyle, ile waży.

Brave pokiwał głową. Doskonale pamiętał ochronę powietrznych konwojów, które dostarczały do Kryształowego Imperium paliwo, leki i żywność, a zabierały rannych. Wtedy się udało, więc liczył na powtórkę z historii.

Czuł się podle, jak skarcony żreback. Wiedział jednak, że Dornier miał całkowitą rację. Brave był taki stary, doświadczony, a znowu ukazał bezgraniczną głupotę. Słynął z tego, że najpierw robił, później myślał, ale dziś to przegiął. Cała misja mogła się rozlecieć! Gdyby Sombryjczycy najpierw zaatakowali transportowce i go olali, gdyby Skalska nie wpadła na swój polkoński pomysł i gdyby w końcu trafiła go któraś z tych kul... nie byłoby czego zbierać, a Dornier mógłby odmówić wsparcia powstańców nawet w nocy, tłumacząc to wysokimi stratami.

Dlatego należało teraz ogarnąć się i przygotować do nowych, nocnych misji.

*

6 kwietnia rano

Śródmieście

18:40

Wampirzyca wyglądała bardzo ponuro w swojej izolatce. Z drugiej strony, czy można było oczekiwać czegoś innego po więźniu?

Jedno oko miała dramatycznie podbite i półprzymknięte. Chłodziła je jakąś brudną, szarą szmatką, w której co chwilę brakowało wilgoci. Maczała ją w prawie pustej misce z wodą, jedynej, jaką posiadała. Skrzydła miała obwiązane porozrywany i niedbale zawiązanym bandażem. Uszy leżały płasko, przylegając krzywo do czaszki. Jej nowa aparycja wściekłego, obitego kundla, w końcu nadażyła za typowymi przymiotami jej charakteru i stereotypami rasy. Kły świeciły w ciemnościach zdrową żądzą mordy, której Hedgehog właśnie się spodziewał.

– Słyszałem, że stawiałaś opór podczas próby aresztowania. Nie sądziłem jednak, że byłaś aż tak głupia, iż będą musieli ciebie połamać. Mówię to bez żadnej satysfakcji. Po prostu stwierdzam fakt.

Splunęła na szmatkę, odejmując ją na chwilę od oka, a potem ponownie sobie przyłożyła do opuchlizny.

– To trio dzieci wojny, które przyszło najpierw, to po prostu olałam. A kiedy jeden próbował mnie dotknąć pomimo ostrzeżeń, to wylądował w witrynie sklepowej. Mówię to z pełną satysfakcją.

– To kto...

– Ten twój łysawy przydupas w ciemnych brylach... Ray, tak? Nie spodziewałam się, że on był policjantem w cywilu... Ale zabrałam mu trochę czasu i chyba musiał mi najpierw połamać skrzydła...

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Mniejsza z tym! Jesteś oskarżona o zdradę księżniczki Luny, skrajną niesubordynację, działanie na szkodę państwa w czasie wojny, nieautoryzowane skorzystanie z szyfrów wysokiej kategorii tajności, a także niepotrzebne narażenie na śmierć żołnierza.

– Spora kolekcja. Lista tytułów dłuższa niż u Luny.

– Drwij sobie...

Podniosła wzrok i nieco się ożywiła.

– Bo co? To pogorszy moją sytuację? Rozstrzelacie mnie dwa razy? A może wyrok jeszcze nie zapadł i jednak zmusisz mnie do oglądania tej szopki, gdzie pośpiesznie zebrany

komitet amatorów jest zmuszany do zabawy, na którą nie ma ochoty? Czy dobrze zinterpretowałam charakter powstania?

Rozkaszłała się wiotczając, a potem zarzęziła:

– Daj mi papierosa i pozwól tutaj zdechnąć. Los typowego nietokuca w typowej balladzie o rycerzach i kołkowaniu wampirów. Jakież to literackie...

– Nie przyszedłem tutaj wysłuchiwać jakiś pseudointelektualnych uniesień, lecz wyjaśnić wątpliwości...

Wyciągnął z kieszeni papierośnicę, na widok której nietoperzycy zabłyszczały oczy. Dał jej jednego razem zapalką, a ona mogła z ogromną błogością się zaciągnąć. Zamlaskała smakując ekskluzywny tytoń o pomarańczowym aromacie. Nawet w półmroku aresztu dało się dostrzec, że dym snuje się w bardzo subtelny sposób, cienką stróżką wijąc się w przestrzeni niczym nicien. Co chwilę pokastywała, co przy obitych żebrach i skrzydłach musiało być podwójnie bolesne. Nikotyna przyjemnie drapała jej wewnętrzznego wściekłego kundla za uchem, przez co sama mogła spróbować dojść do głosu.

– Zmieniłam zdanie. Chętnie stąd wyjdę i sama się chętnie dowiem, o co chodzi w tym burdelu.

– Zatem przechodząc do rzeczy! – odpowiedział wkurzony. – Sfalszowałeś rozkazy, na podstawie których zostałaś tutaj przysłana. Skorzystałaś nielegalnie z kodu „Zebra”, aby się z nami skontaktować i zapowiedzieć swe przybycie. Zmarnowałaś ten kod, przez co nie byliśmy w stanie odczytać innej wiadomości wysłanej do nas przez Canterlot.

– Pierwszy błąd. Niczego nie sfalszowałam. Ja to po prostu zmyśliłam. Przecież nikt nie widział nigdy żadnego papierka podpisanego przez Lunę lub kogokolwiek. A to jest inny paragraf, jak kojarzę. Ósmy przeciwko dwunastemu, prawda?

– A co z szyfrem?

– Tutaj muszę się zgodzić – przewróciła zdrowym okiem i zaciągnęła się mocniej, co wywołało napad kaszlu. – Faktycznie to było lekkomyślne z mojej strony.

– Lekkomyślne? Czy ty wiesz w ogóle, co uczyniłaś? Canterlot trzeciego kwietnia wysłał do nas wiadomość najwyższej wagi, która de facto nie dotarła! Kod zmarnowałaś i go zniszczyliśmy, zgodnie z procedurą wykorzystania kodów jednorazowych. Dopiero dziś rano dotarł stamtąd goniec, który nam go przyniósł na papierze!

– Jestem gotowa ponieść za to konsekwencje, ale zasądzone wyłącznie przez prawowity sąd w Canterlocie, a nie waszą maskaradę – stwierdziła i spojrzała mu prosto w oczy. Wytrzymała to, lecz widok wrzecionowatej źrenicy dla każdego kucyka dnia zawsze wydawał się jakiś wynaturzony.

– Niesubordynacja i działanie na szkodę! Opuściłaś posterunek w Canterlocie... posterunek u boku swej przełożonej, którą powinnaś osłaniać własnym ciałem! Jakie masz wytłumaczenie?!

– Żadne. Byłam żadna przygód i tyle ci mogę powiedzieć. Nie złożę żadnych wyjaśnień w tej sprawie ani tobie, ani żadnemu innemu przebierańcowi. Lepiej mi powiedz, o co chodzi, do czarnej Luny, z tym narażeniem na śmierć żołnierza. Tak teraz nazywacie dowodzenie?

Ogierowi coraz trudniej było powstrzymać się przed tym, aby jej po prostu nie zastrzelić na miejscu. Wspomnienie ciała Babs Seed było zbyt bolesne...

– Porucznik Żagiew... byłaś przy niej, kiedy poległa. Wykonywałaś obok dziwne ruchy, jakby pokazując snajperowi w kogo ma... celować! Ray widział to osobiście z niedużego dystansu!

– Był tam?! Zatem uratowałam zad temu niewdzięcznemu fagasowi, gdyż jako jedyna od razu poleciałam zapolować na tego snajpera! Byłaby szkoda, gdyby nasz gołąbek zaliczył jeszcze jednego grubego fraga!

– A więc zaprzeczasz?

– Tak! To jakiś niesmaczny żart! Stek bzdur! Niby dlaczego miałabym życzyć śmierci jedynej osobie, która jakkolwiek ze mną tutaj normalnie rozmawiała? Jedynej, która o mnie dbała?! Nie zrobiłam tego! I tak! Zasłoniłabym ją własnym ciałem, gdybym wiedziała, co się stanie!

Zaciągnęła się, zakaszła i kontynuowała:

– Codziennie myślę o tym, jakby to pożytecznie zejść z tego świata! Jak przeciąć przekłętą nić swego przekłętego żywota wampira! Poświęcić się dla sprawy ogółu! Dlatego olałam twój rozkaz i przejęłam dowodzenie na Winged Avenue, wzięłam nawet udział w walce wręcz, ratując tamten odcinek! Ja chcę umrzeć! Chcę zakończyć to pasmo codziennych poniżeń, krycia się w cieniu przed światłem przytłaczającego świata. Który bezgranicznie gardzi mną tylko dlatego, że wyrosły mi nieco dłuższe zęby, niż jemu!

– Zatem powinnaś tutaj zostać. Przez swoje zaburzenia stanowisz zagrożenie dla całej sprawy powstania.

Uniosła zagniewana głowę i zasyczała odruchowo, jak jakiś prostacki nietokuc, a nie oficer. Co gorsza, nie mogła się nawet zaciągnąć, gdyż cygaretką właśnie się skończyła.

– Popelniasz. Właśnie. Niewybaczalny. Błąd! – wyrzuciła z siebie rozgniewana do czerwoności. Aż pluła śliną, a na jej policzkach płonęły rumieńce. Hedgehog zdawał się tego nie dostrzegać, ale również w jego oczach trzaskały iskry.

– Popeliłaś ciężkie przestępstwo. Naraziłaś na szwank naszą pozycję w Canterlocie oraz ukryłaś przede mną swoje prawdziwe cele. Nie mówiąc o sfalszowaniu rozkazów.

– Pragnę ci przypomnieć, że wszyscy tutaj żyjemy w konspiracji i oszukujemy. A może nie zauważyłeś?

Zapowietrzyła się i rozkaszała z nerwów. Od kiedy zaczęła palić, to astma błyskawicznie zaczęła przejmować kontrolę nad jej oddychaniem. Nie mogła jednak się powstrzymać i chociażby w tej chwili tęskniła za kolejnym papierosem jak za oddychaniem.

– A i jeszcze jedno! – dodała klacz po sekundzie milczenia, nie pozwalając mu się zripostować. – Księżniczkę i historyków w przyszłości też pewnie zainteresuje, czemu po upadku Manehattanu nie przedarłeś się do liniowych oddziałów Maremachtu, a zacząłeś bawić się w bizony po lasach, robiąc podchody i takie tam. Czy to było zgodne z regulaminem zachowania dowódcy rozbitej jednostki? Nie! Czy to wiązało się z zatajaniem przed żołnierzami swojej tożsamości i pewnych intencji? Tak!

Trafiła w punkt i Hedgehog został oblany zimną wodą. Może nie od razu wiadrem, ale przynajmniej kieliszkiem, a to zmusiło go do ostrożnego dobierania słów.

– Dowódca nie powinien zdradzać zbyt wiele przed żołnierzami. Ale oni nie mają prawa niczego zataić. Takie są zasady i dotyczy to też konspiracji. Ty tego nie rozumiesz, dlatego posiedzisz tutaj do końca powstania, a potem wydam cię żandarmerii Luftmare. Możesz być mi za to wdzięczna. Księżniczka Luna ma bardziej miękkie serce i być może ukarze cię tylko degradacją.

W Mourning Bell właśnie coś pękło. Zasyczała jak prawdziwy wapiersz i zaczęła bić językiem na wszystkie strony. Jej ogon kręcił się jak wiatrak, a położone płasko uszy przypominały rozwścieczonego wilka. Chciała wyrzucić z siebie cały potok bluzgów, który tylko czekał na odpalenie. Jak nabój wsadzony do komory nabojoyej, z nastawionym zapalnikiem i tylko czekający, aż ktoś pociągnie za spust.

Tupnęła głośno i w ten sposób próbowała pozbyć się nadmiaru energii.

Chyba się udało. Poniosła pędzelkowate uszy, spojrzała nieco bardziej trzeźwo na zaciętą minę majora, a potem zapytała w miarę spokojnie:

– Dogadajmy się. Jak dorosłe kuce. Bez złości.

– Co chcesz dogadywać? To nie targowisko.

– Zacznijmy od... papierosa. Każdy więzień zasługuje na chociaż jednego... no dobrze! Drugiego! Prawda?

Dowódca nie odpowiedział, a westchnął i podał jej po raz drugi papierośnicę razem z zapalką. Nietoperzyca wylosowała długą, cienką cygaretkę jakiejś drogiej marki. Zaciągnęła się z ciekawością i poczuła błogość rozchodząca się po całym ciele. Najpierw płuca się uspokoiły i przestały targać nimi skurcze. W dodatku damski, cynamonowy smak! Ambrozja powoli rozchodziła się z dymem po całej jamie ustnej, wzdłuż podniebienia do głowy, serca i potem wraz z krwią do samego koniuszka ogona. Cudowne i delikatne, jakże luksusowe! Ten był o niebo lepszy od poprzedniego. Już dawno nie odczuła takiej przyjemności. Przysięgła sobie, że od teraz będzie palić tylko cygaretki.

– Doskonale oboje zdajemy sobie sprawę, że powstanie nie idzie zgodnie z planem. Potrzebujesz doświadczonych dowódców...

– Jakie ty masz doświadczenie? To twoja pierwsza prawdziwa misja bojowa!

– Jak i większości dzieci, którym nałożyłeś przyduże hełmy na głowy. Ale ja szkole się bez przerwy przez kilka ostatnich lat. Nigdy nie ukrywałam, że nie walczyłam jeszcze na froncie, a w czasie obrony Canterlotu jedynie zajmowałam się jeńcami.

– Dajesz mi zatem świetny pretekst, aby odebrać ci stopień, wsadzić w zęby Panzerfausta niczym wędzidło i wysłać na pierwszą linię.

– Nie masz nade mną władzy kadrowej...

– ...ale jestem dyktatorem powstania. Zresztą sfalszowane... to znaczy „zmyślane”... przez ciebie rozkazy powierzają cię mojemu dowództwu. Jakbyś chciała klócić się o to w sądzie, to będzie już za późno.

– Z całego serca chcę iść na pierwszą linię i walczyć, ale jestem pewna, że jako dowódca bardziej się przydam.

- Nie mogę zaufać dowódcy, który ukrywa swoje intencje.
- To jak ja mam zaufać tobie, skoro jesteś kimś innym, niż się podajesz?!

Niechący wylała na niego zimną wodę i to tym razem całą beczkę. Ostatnie zdanie wyrwało jej się z ust w afekcie, ale najwidoczniej wyrzuciła szóstkę oczek na kostce. Hedgehog zupełnie zmienił swoje zachowanie. Najpierw rozejrzał się dookoła i po upewnieniu się, że nikt nie podsłuchuje, przybliżył twarz do kraty i zapytał uprzejmie:

- Skąd taka sugestia?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo się zdradził. Wszak mogła mieć na myśli jego pseudonim. Postanowiła jednak dalej grać w tym rozdaniu.

– Takie informacje kosztują. Powiem ci co wiem i skąd, ale zobowiążesz się, że pozwolisz mi wrócić do walki jako dowódca. Możesz mi w tym zaufać. Od samego przybycia do Fillydelphii wiernie służę wspólnej sprawie.

Machnął lekceważąco kopytem.

– Przynajmniej raz na miesiąc odstrzelałem agenta NKWD, który był świetnym żołnierzem, ale w rzeczywistości donosił na komisariat. Straciłem zainteresowanie. Bywaj...

Odwrócił się na kopycie i poszedł ku wyjściu. Musiała zaatakować.

– Wiem, że nie pochodzisz z Fillydelphii ani w ogóle z Marevallu. I nigdy wcześniej nie byłeś w wojsku!

Zatrzymał się, lecz wciąż stał odwrócony. Nie mogła tego zobaczyć, ale wyobrażała sobie, że właśnie gryzie własną brodę.

– Wiesz, że jeśli to komukolwiek zdradzisz, nawet w formie niepotwierdzonej plotki, to twój los będzie tragiczny? Ja nie jestem księżniczką. Mam pewną satysfakcję z zadawania widowiskowej śmierci różnym skurwysynom. Chyba mnie rozumiesz, jako nietokuc.

– O tak! Wiem, jakież to odstresowujące, kiedy pijesz w kielichu krew pokonanych wrogów. Chyba doskonale mnie rozumiesz, jako Pferdyjczyk!

Warknął i zamachnął się kopytem, ale odsunęła się od krat i szybko dodała:

– Nie mam żadnego interesu, aby uświadamiać twoje dzieciaki, że ich brodaty idol jest pozerem i tak naprawdę pochodzi z północy z rodziny...

– DOŚĆ! – krzyknął i wyginając szyję spojrzał na nią nienawistnie. – Dobrze! Wrócisz do jednostki! Nie pozbawię ciebie stopnia, ale nie licz na poważną funkcję! I... dziób na kłódkę!

– Sir, yes, sir! – zasalutowała z przesadną wylewnością. – Jestem gotowa do służby nawet zaraz! Pragnę zginąć na pierwszej linii! Za księżniczki! Za ojczyznę! Za przyjaźń i harmonię!

Skrzywił się nagle, jakby powiedziała coś wyjątkowo przykrego, jakby dotknęła czułego punktu.

– Prawie zapomniałbym, że mam jeszcze dwie wiadomości. Dobrą i złą. Dobra jest taka, że wróciło Luftmare i dokonało wczoraj i dzisiaj udanego zrzutu. Zła natomiast brzmi... Powinnaś wiedzieć... że prawdopodobnie generał Twilight Sparkle nie żyje.

*

Mieszkańcy Fillydelphii z niedowierzaniem podnosili z ziemi ulotki rozrzucone przez cały dzień przez samoloty. Było na nich dobrej jakości zdjęcie wyraźnie przedstawiające fioletowego jednorożca z sześcioramienną gwiazdą na znaczku. Leżał w kałuży krwi na jakiś łazienkowych kafelkach, a wytrzeszczone oczy i wywalony język jednoznacznie świadczyły o ostatecznej sytuacji. Treść broszurki głosiła, że generał Twilight Sparkle została uśmiercona przez Sombryjskiego agenta, która wczoraj wieczorem dokonał udanego zamachu w jej własnej łazience!

Niektórzy to zignorowali.

Inni nie uwierzyli.

Ale większość z bólem serca nie potrafiła podzielać tak skrajnej pewności siebie. Krótkotrwała radość wywołana udanymi akcjami Luftmare została rozproszona przez ponurą perspektywę śmierci bohaterki narodowej, ulubionej celebrytki i obrończyni Equestrii. Pojedyncze kucyki zwracały uwagę, że śmierć powierniczki Elementu Harmonii mogłaby wywołać jakąś reakcję magiczną, która odbiłaby się na meteorologii. Wtedy kontrowano ich, że po pierwsze, nie ma żadnego sposobu tego zweryfikowania z powodu blokady informacyjnej, po drugie weterani frontu kryształowego wspominali o pogarszającym się stanie czarodziejki i jej wycofywaniu się z życia, a po trzecie dzisiaj pogoda istotnie się pogorszyła i wczesne lato ustąpiło miejsca pochmurnej wiośnie. Zimny wiatr wywiewał resztki pewności siebie i

pozostawiał po sobie poczucie nagości. Szczególnie w obliczu takiej wiadomości. Władze powstania próbowały przechwytywać i niszczyć ulotki, a także zainicjować kontreakcje propagandowe, ale sami nie mieli na to pomysłu, poza kolejnymi bohaterскими filmami od Shnake'a.

Morale dosłownie podupadało i niektórzy odnosili wrażenie, że winnym jest coś więcej, niż tylko trudna sytuacja. Mówili, że jakaś klątwa zawisła nad miastem.

*

6 kwietnia 1272

Canterlot

22:00

Dotychczas odwiedzali go tylko strażnicy i lekarze, którzy zawsze grobowo milczeli. Po pierwszych dwóch próbach zrezygnował z zagadywania i biernie czekał, aż taki wizytator przeniknie przez ścianę, zrobi swoje i wyjdzie. Dlatego zupełnie nie przejął się, słysząc zbliżające się kroki. Miał nadzieję, że nie będą mu znowu kazali mierzyć temperatury i robić zastrzyków.

White Fire o tym nie wiedział, ale jego cela została identycznie zaprojektowana, jak znajdująca się nieopodal cela Sombry. Nie przeczuwał też, że znajduje się w samym bijącym sercu znienawidzonej ojczyzny, a więc w najgłębszych lochach Canterlotu. Góra Cornus, na której zbocz ułożono miasto i zamek, kryła w sobie ogromny świat jaskiń i wykutych przez różne istoty korytarzy. Zdecydowana większość była zawalona, opuszczona, zapomniana lub intencjonalnie zamknięta, lecz o niektórych wiedza nie zaginęła. Królowa Chrysalis przygotowując swój zamach terrorystyczny, uwięziła księżniczkę Cadance w jednym z chodników kopalni kryształów, nieświadoma, że niewiele głębiej znajdowały się warstwy stratygraficzne nieprzepuszczające magii. Gdyby dotarła do tamtych sztolni, Twilight Sparkle miałaby ogromne kłopoty z uwolnieniem swej przyszłej szwagierki.

Jednak Celestia w trakcie tysiącletnich rządów zdążyła o wiele więcej zobaczyć. Uznała upuszczone chodniki z kopalni tego szlachetnego, nie reagującego z magią kamienia, za idealne miejsce odosobnienia dla magicznych więźniów. Nawet takich pozbawionych rogów.

White Fire i Sombra byli w czasie swej świetności zbyt potężnymi czarnoksiężnikami, aby poczuć się bezpiecznie w ich towarzystwie po samej dehornizacji. Niektóre talenty mogły wciąż działać, jak chociażby telepatia.

Osadzony spostrzegł jednak, że tym razem gość nie był członkiem personelu więzienia. Była to wysoka i muskularna klacz jednorożca o bursztynowym umaszczeniu, a na jej znaczkach widniały dwie maski teatralne. Nosila na szyi typowy dla biznesmenów kołnierzyk z krawatem, a także przyniosła ze sobą czarną aktówkę. Co zadziwiające, pomimo figury i smukłości godnej sportsmenki u szczytu kariery, była osobą raczej starszą niż młodszą, która na poważnie powinna zacząć myśleć o emeryturze.

– Doktor White Fire? – zapytała oficjalnym, nieco pretensjonalnym tonem.

Była to pierwsza osoba chcąca z nim porozmawiać. Mimo to uznał, że nie da się nabrać na haczyk.

– Czy to ma jeszcze jakieś znaczenie? – zapytał rozwalając się na pryczy i odwracając od niej wzrok. – Zrób ze mną co musisz. Szkoda twego czasu. Ja mam go aż nadto.

Klacz zupełnie to zignorowała i najwidoczniej postanowiła dalej kierować się własnym planem.

– Jestem profesor Amberdrop, królewska specjalistka od sztuki zaklinania i zaklinaczka ad personam. Miałam okazję przysłuchiwać stworzone przez ciebie amulety antyalicornia.

– No i? – dalej udawał niezainteresowanego, lecz w rzeczywistości popadł w dzikie zaniepokojenie. Nie tylko ta klacz była pierwszym towarzystwem od dawna, ale też wydawała się być prawdziwym specjalistą w bardzo bliskiej jego sferze sztuki.

No i wydawała się bardzo znajoma...

– Pragnę poinformować ciebie, że czeka cię proces – kontynuowała Amber Drop tonem osoby nie przepadającej za mówieniem jako takim w ogóle. – Data jeszcze nie jest ustalona. Zapewne domyślasz się, że twoje położenie jest fatalne i zapadnie wysoki wyrok.

– Gloria victis... – burknął i aby podkreślić sztuczną obojętność zaczął dłubać w uszach.

– Jestem jednak pewna, że pójście na współpracę może wiele pomóc.

– Współpracę?! – poirytował się mag. – Ja potrzebuję na tym ustawionym procesie obrońcy! Kogoś, z kim mógłbym w świetle kamer i międzynarodowych obserwatorów obnażyć tę całą szopkę!

– Rozmawiasz z nim właśnie.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem i aż spuścił nogi na podłogę. Przyjrzał jej się dokładnie i zmrużył oczy.

– To chyba jakiś żart. Moim obrońcą powinien być sombryjski prawnik albo chociaż gryffoński! Ty jesteś elementem tego systemu...

– To czysta naiwność wierzyć, że w Sombrii znajdziesz osobę bezinteresowną. Twoi dawni towarzysze masowo wyrzekają się kontaktów z elitami Sombrii. Tam każdy myśli wyłącznie o sobie, więc mógłby nie znaleźć pretekstu do myślenia o tobie. Tak samo gryfy bez odpowiedniej motywacji finansowej nawet na ciebie nie spojrzą.

– A ty co? Jesteś idealistką walczącą o prawa więźniów politycznych?

– Jestem twoją dawną nauczycielką.

Retrospekcje uderzyły go z siłą granatu. Wspomnienia ze studiów, potem doktoratu... Amber Drop była jego promotorką. Nie poznał jej aż do teraz. Wszystko miało to miejsce przynajmniej trzy życia temu i należało do tego okresu, który co do zasady dawno już wyparł ze swej pamięci, a resztki wspomnień przefiltrowały mu się przez sito pogardy i nienawiści.

Mieli w tamtych czasach ze sobą bardzo dobry kontakt, a pani profesor sprawiała wrażenie autentycznie zainteresowanej jego ambicjami, na przykład tej, która dotyczyła stworzenia czystej energii. Być może wtedy nie wierzyła w pełni w realność tych projektów i dopiero kiedy wszystko stało się ciałem, to zaczęła dostrzegać ryzyko.

– Amber Drop... już pamiętam...

– To doskonale. Oszczędzimy sobie wspominek. A co do motywacji, to powiem krótko: jako zaklinaczka uważam, że uwięzienie ciebie to czyste marnotrawstwo niezwykłego talentu. Mógłbyś nas wiele nauczyć, a także pomóc rozbroić niektóre pułapki, które zgubiłeś w Equestrii.

– Hehe, zabawa w sapera? – zmrużył oczy.

– Tak to można nazwać. Osobiście i szczerze, o wiele bardziej chciałabym móc z tobą współpracować, niż jedynie odwiedzać ciebie w tej izolatce do końca życia.

To zabrzmiało bardzo konkretnie. Szczególnie, że wizja spędzenia dziesiątków tysięcy dni w tym miejscu wydała się równie okropna, co prawdopodobna.

– I w zamian otrzymałbym wolność?

– Niezupełnie. Nie sądzę, że Celestia i Luna zgodzą się ciebie całkowicie uwolnić. Jednak uzyskasz pewną swobodę, której zakres będzie zmienny. W zamian za uczciwą pomoc, Equestria poszerzy ci klatkę. Lecz w zamian będziemy oczekiwać konkretnych wyników.

– Od czego chcielibyście zacząć? Tak pytam wstępnie, nim podejmę decyzję.

Amberdrop spojrzała z obrzydzeniem na jego lekceważącą minę. Czasami zazdrościła księżniczkom, że potrafiły zachować pełną swobodę w rozmowach z łotrami. Choć równocześnie wiedziała o tym, co przytrafiło się ostatnio Celestii.

– Kryształy w Kryształowym Imperium to nie tylko doskonały nośnik i przewodnik magicznej energii. Mogą też stać się jej źródłem, a wtedy kucykowa magia osiągnie poziom, który można porównać tylko ze swobodnym dostępem do innych wymiarów lub komercyjnych podróży kosmicznych. Magiczne artefakty w każdym domu, o rozbudowanych funkcjach i zasilaniu niemalże wiecznym, z perspektywy długości życia przeciętnego kucyka.

– A to Twilight mi mówiła, że jestem szaleńcem, który chce zniszczyć świat – splunął na podłogę. Na Amberdrop nie zrobiło to wrażenia.

– Ogień może palić, ogień może chronić. Mądrość księżniczek i wielu jej poddanych zagwarantuje właściwe wykorzystanie darów natury. I nie próbuj nawet udawać, że nie jesteś zainteresowany. Umiem odczytać intencje kucyków.

Pokiwał głową, nie mogąc zaprzeczyć tak oczywistej rzeczy. Od zawsze marzył o przyłożeniu kopyta do równie wzniosłego projektu. Zaawansowana magia w każdym domu? A być może nawet rzeczywistość wirtualna? Bezprzewodowa komunikacja? Doskonała medycyna? To wszystko było dostępne w sztolniach Kryształowego Imperium. Powinien wziąć w tym udział!

Albo w zamian zgnić w tych sześciu ścianach, już nigdy nie oglądając słońca ani gwiazd.

7 kwietnia 1272

Lotnisko polowe w Marevalli

22:00

To był naprawdę pyszny widok! Cały batalion, czyli tak naprawdę kompania, stała w gotowości przy swoich samolotach. Powietrze aż wibrowało od buczenia rozgrzewających się potężnych silników pięciu Junkersów. Mechanicy wykorzystując ostatnie chwile doglądali jeszcze szczegółów przyświecając sobie latarkami. Nietokuce za to pogrupowały się w pięć drużyn. Cztery z nich, w równych szesnastkach stróżowały przy wejściach do transportowców. Tylko jedna grupka liczyła zaledwie siedem kucyków, gdyż resztę przestrzeni wypełniały aż trzy zasobniki z bronią. W warunkach oblężenia każdy dodatkowy karabin lub magazynek mógł okazać się na wagę złota. Cały ten balast już został załadowany i stare, dobre ciotki czekały jedynie na swych awanturniczych bratanków i siostrzenice, a więc spadochroniarzy. Musiały zapewnić im szybki, bezpieczny lot na miejsce bitwy, gdyż do tego czasu byli całkowicie bezbronni i zdani na ich łaskę. Nikt inny tego nie rozumiał tak, jak pilot i spadochroniarz.

Nocturnal wiedział, że w tych warunkach normalna odprawa była w sumie szopką, ale miał ogromną ochotę ją odegrać. Rozpierała go duma, widząc swoich żołnierzy uzbrojonych po zęby i gotowych ruszyć na niebezpieczną, chwalebną wyprawę. Stanął naprzeciwko pierwszej drużyny czekającej u drzwi samolotu oznaczonego karcianym pikiem i zakrzyknął:

– Czołem batalion!

– Czo-pa-orze![1] – odparła grupa próbując przekrzyczeć silniki samolotów. Nikt nie mógł się dobrze słyszeć, ale przecież przeciwicyli to setki razy w trakcie musztry...

– Dowódca pierwszego samodzielnego batalionu operacyjnego, wystąp!

Z drugiej drużyny „kierowej” wyszedł rosły Tantabus. Trzy kroki sztywne, a potem swobodne. Zatrzymał się metr przed położonym, zasalutował, poczekał na salut Nocturnalą i odkrzyknął silnym, żołnierskim basem:

– Panie majorze! Dowódca batalionu, porucznik Tantabus, melduje jednostkę gotową do odlotu! Stan siedemdziesiąt plus jeden, pełny!

Ponowna wymiana honorów, przybicie kopyta. Panował zbyt duży hałas, aby wygłaszać jakieś mowy, więc Nocturnal postanowił załatwić to wizualnie. Spojrzał po swoich żołnierzach, starając się w swym wzrokiem obdarzyć każdego ojcowskim błogosławieństwem i dać znać o własnej euforii i dumie. Wyglądali wspaniale i takich chciał ich zapamiętać, aby w krzyżowym ogniu artylerii przeciwlotniczej, pośród morderczych walk w runach miasta i ścierając się ponownie z niepojętym złem samego Sombry... móc podierać się tym wspomnieniem. Ratować swoją poczytalność tą jedną nobliwą chwilą godną zaszczytnego miejsca w kronikach. Niech oni też to pocują!

Przypomniawszy sobie cudowny pocałunek od Sweetie Belle, a policzki automatycznie się zarumieniły i w tylnych częściach ciała doszło do pewnych ekscytujących sensacji. To była jedna z najwspanialszych chwil jego życia, o ile nie najcudowniejsza.

Księżniczka Luna nie mogła osobiście stawić się na tym lotnisku. Batalion dojechał pociągami jakieś sto kilometrów od linii frontu, a tutaj czekały na niego Junkersy. Dla Pani Nocy to byłaby bardzo lekkomyślna wycieczka. Nie mogła sobie pozwolić na tak długie opuszczenie dworu i obowiązków. Dlatego postanowiła pożegnać się ze swoimi dziećmi w inny sposób.

Nocturnal sięgnął do kieszeni na piersi, gdzie nosił największe skarby. Kolczyk od ukochanej, złoty i pachnący perfumami zegarek z dewizką, w którego skrytce ukrył cztery pukle włosów: Sweetie Belle, Midnight Lullaby, Fullmoon oraz... mały, ale zaczarowany pukielek od Luny. Wyjął go teraz i jeszcze raz spojrzął na niego. Kilka ultramarynowych, dość grubych włosów nie błyszczało i nie zdradzało żadnych magicznych właściwości. Ale kiedy podrzucił je w powietrze, błyskawicznie spłonęły srebrnym ogniem. Każdy ze spadochroniarzy nagle poczuł na swoim czole delikatne muśnięcie eterycznych ust, a w uszach zagrał ich perlisty śmiech.

Dla każdego było to indywidualne doświadczenie, ale bez wyjątku niezwykle i budujące. Najpierw ich policzki spłonęły rumieńcem zaskoczenia, ale ledwie moment później poczuili się silniejsi, mądrzejsi i nieustraszeni! Cóż mogło im zagrozić w nocy, skoro to oni byli nocą? To oni przenikali wzrokiem mrok, to oni byli drapieżcami z legend, o których strach mówić nawet w świetle słońca!

Jak na komendę wszyscy zasyczeli i wyszczerzyli kły, w dziwnym, niegłośnym okrzyku bojowym wampirów. Ściągnęli brwi, pochylili głowy i na wpół rozpostarli skrzydła, przepychając się w szeregach. Języki oblizywały lubieżnie zęby i każdy wampir nagle stał się ziszczeniem koszmarów kucyka dnia.

– Batalion! Do maszyn!

Na gest dowódcy uczynili w prawo zwrot i w pełnym porządku wskakiwali do swoich maszyn. A Nocturnal gładził kopytem wybrzuszenie na piersi, gdzie pozostały trzy pukle trzech

największych cudów jego życia, a także kolczyk. Jedynych plam światła w mrocznej prozie syna nocy.

*

7 kwietnia 1272

Vanhoover

22:00

Minęło już trochę czasu od wyruszenia Nocturna na front, więc Somnambula zdążyła dojechać do Vanhoover. Nie było jej w domu od paru dni i nocy, zatem dzieci na pewno się niecierpliwiły. Równocześnie klacz była zbyt zaniepokojona losami desantu, aby móc skupić się na swych zwykłych, matczynych rozterkach. Ta misja była szaleństwem. Może i jedną opcją, ale wciąż nie mogła zakończyć się dobrze!

Było jej niewymiernie wstyd, że nie potrafiła odnaleźć w sobie nadziei. To niegodne jej imienniczki i życiowej patronki. Dawna Somnambula pewnie się przewracała w swej piramidzie.

Wróciła do domu i stwierdziła, że jest cicho. Za cicho. Co jej dzieci znowu wykombinowały? Miały już po osiem lat, więc opiekunka mogła bezpiecznie wyjść przed powrotem matki i zostawić dzieciaki na te dwie godziny.

– Siwa? Hisan? – zawołała, zdejmując buty. Dziś nie miała na sobie kombinezonu, gdyż i tak do jej aktualnych obowiązków należało głównie pisanie, czytanie i podejmowanie decyzji. A do tego nie była potrzebna gotowość bojowa.

W mieszkaniu panowała paskudnie przytłaczająca atmosfera. Somnambuli oprócz niepokoju włączył się instynkt obrony rodzinnego gniazda, więc wyszczerzyła kły i zasyczała bezgłośnie. Położyła płasko skrzydła i zaczęła skradać się po dywanach. Światło wszędzie było całkowicie wygaszone, co na pewno nie było komfortowe dla dzieci. Sama musiała włączyć delikatną iluminację podsufitową, aby móc się poruszać, a żrebaki przecież widziały w mroku gorzej od dorosłych.

Znalazła je. Siedziały w swoim pokoju, pośród rozrzuconych zabawek. Zwrócone tyłem, wpatrywały się w przeciwległą ścianę. Było to tak mrożące krew w żyłach, że nawet nie miała ochoty je ochraniać za bałagan.

– Och, tutaj jesteście! Czemu nie odpowiadacie? Martwiłam się trochę!

– Oszukałaś nas, matko! – powiedziała zimno córeczka, wciąż nie zmieniając pozycji. Somnambula o mało nie dostała czkawki. Na wszelki wypadek nie przekraczała progu pokoju, zaczynając domyślać się najgorszych scenariuszy. Atak podmieńców, klątwa, sabotaż! To mogła by okrutna pułapka!

– Co... co takiego? Opowiedz mi dokładnie – zapytała ostrożnie, aby zyskać na czasie.

Dopiero wtedy podniosły się i obróciły w miejscu. Na szczęście nie miały zahipnotyzowanych oczu, a jedynie twarzyczki ścięte grymasem niezadowolenia. Dziecięcy foch, to chyba mniejsze wyzwanie dla rodzica, od ataku czarnej magii.

– Matko... – zaczęła dziewczynka, a ten oficjalny zwrot podwójnie zaniepokoił klacz. – Dziś mieliśmy w szkole zajęcia o dawnych legendach...

O najczarniejsza z nocy!

– ...i dowiedzieliśmy się w końcu co znaczą nasze imiona!

– Czyż nie opowiadałam wam tysiąc razy baśni o Somnambuli? – przerwała jej matka.
– Przecież o dość... ważne dla naszej rodziny.

– Tak, ale nigdy nie zdradziłaś, skąd są nasze imiona! – odparł synek. – Dlaczego ja jestem Hisan, a ona Siwa!

– Bo to inni bohaterowie tej legendy, więc postanowiłam... jak to się mówi... pójść za ciosem i kontynuować rodzinną tradycję. Nie zdziwiłabym się, jakbyście własne dzieci też nazwali... na przykład Kebehut, tak jak miała na imię faraon...

– Na pewno nie nazwę swego dziecka imieniem sfinksa! – córka w końcu nacisnęła na spust. – Jak mogłaś mi to zrobić? Czy jestem dla ciebie potworem?!

Luno, czemu dzieci tak szybko dorastają? – zapytała samą siebie matka i wkroczyła w końcu do pokoju. Usiadła na zadzie naprzeciwko swoich pociech. Uśmiechnęła się do nich. Początkowo miała ochotę po prostu kazać im się nie martwić, ale nie byłoby to wobec nich w

porządku. Szykowała się okazja do nauczenia ich czegoś mądrego, a więc uznała, że jako sprytny rodzic nie powinna tego przegapić.

– Siwa i Hisan to piękne imiona i już wam tłumaczę dlaczego.

– Czuję się, jakbym był tym samym frajerem, który szarżował na sfinksa z gołymi kopytami.

– Książę Hisan jako pierwszy sprzeciwił się sfinksowi, wykazując się odwagą i determinacją, której brakowało innym. Nawet samej Somnambuli. Owszem, nie przewidział wszystkiego, ale swoim ofiarnym gestem dał inspirację pozostałym kucykom. Sprowokował je do walki o swoje. Tak jak powinien prawdziwy przywódca, prawdziwy lider. Ty nie jesteś nim, ale możesz inspirować się jego dziejami, dodając coś od siebie. Słusznie zauważyłeś, że książę postąpił nierozważnie. Dlatego ty sam bądź... rozważny!

– Ale dlaczego akurat Hisan?

Somnambuli ciężko było przyznać, że w tej legendzie było niewiele ogierów, więc w sumie nie miała za dużego wyboru. Nie mogła jednak tego wyznać wprost.

– Jak mówiłam, Hisan jest postacią symboliczną, która wykrzeszała z siebie odwagę jako pierwsza. To piękna inspiracja, która dała nadzieję Somnambuli. A dalszy ciąg tej historii już znacie.

– Super. Świetnie! – sarknęła dziewczynka. – A co ze mną? Dlaczego ja jestem potworem? Czy mam... go ugryźć, czy co?

Strzeliła brata ogonem jak z bicia. Klacz szybko rozdzieliła bliźniaki własnym ogonem, aby nie doszło do bójki.

Westchnęła głośno. Tutaj wyjaśnienie było o wiele trudniejsze, ale i od lat przygotowywała się do tej chwili. Małe nietokucyki musiały w końcu dowiedzieć się, kim są.

– Bo widzicie... my jesteśmy trochę potworami.

Wytrzeszczyły oczy, rozdziawiły usta. Efekt szoku uzyskany, teraz czas na konkrety!

– Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, dlaczego sfinksica po prostu nie napadła na miasto Somnambuli i nie pożarła jego mieszkańców? Była wielka, inteligentna i posiadała wielką moc magiczną. Cała armia mogłaby jej nie podołać. A mimo zażądała płonów, a nie mięsa! Przecież to nie mogło być zbyt odpowiednie jedzenie dla drapieżnika.

– No tak... - wyznała córka. – to robi się dziwne.

– Dlaczego? Dlaczego nie zjadła kucyków? – zapytał brat.

– Bo nie chciała. Ona po prostu była samotnym, głodnym stworzeniem, które nie umiało sobie poradzić ze swoim własnym... eee... życiem. Dlatego postanowiła zamieszkać wśród kucyków, aby móc cieszyć się ich towarzystwem i adoracją. Nie umiała jednak się z nimi zaprzyjaźnić, więc mogła robić tylko to, co podpowiadał jej instynkt drapieżnika, a więc siała terror.

– Jak tak o tym opowiadasz... – stwierdziła Siwa. – to bardzo smutna to była sfinksica...

– Uznałam, że to imię będzie dobrym przypomnieniem dla nas wszystkich, że nie wszystko, co groźne i drapieżne jest bezkrytycznie złe. Nietokuce to niebezpieczne drapieżniki które w przeszłości stanowiły ogromne zagrożenie dla innych kucyków. Wszak tych zębów nie mamy do otwierania konserw... i nie! Nie pozwalam Ci, Hissan, robić tej sztuczki!

Ogierek już sięgał po butelkę soku, aby nadziać ją sobie na kły. Pod miazdzącym spojrzeniem matki jednak się wycofał.

– Jeśli ktokolwiek kiedykolwiek wam będzie wmawiał, że jesteście złe tylko dlatego, że macie pionowe źrenice i długie kły, to nie przypomnijcie mu, że Nightmare Moon to opiekunka Equestrii, asystentem generała Twilight Sparkle jest smok, a nietokuce właśnie wyzwalają Fillydelphię!

A przynajmniej nie możemy wątpić w ich powodzenie – pomyślała, nagle podniesiona na duchu. Nadzieja... somnambuliczna nadzieja... nie mogła się jej wyrzec.

Przytuliła i pocałowała swoje dzieci, a potem zapytała:

– Jak chcecie, to możemy pobawić się w legendę o Somnambuli. Tylko przynieście figurki...

Hissan poderwał się i zaczął ich szukać pośród bałaganu. Dziewczynka chciała też pomóc, ale nagle coś przyszło jej do głowy.

– Mamusiu, a mogłabym poprosić... o pluszowego sfinksa!

– Widzę, że jednak oswoiłaś się ze swoim imieniem – uśmiechnęła się matka.

– No jasne! Aby ten sfinks był tak duży, jak w rzeczywistości...

Somnambula spoważniała.

– Mały wystarczy.

Dziewczynka rzuciła się jej na szyję aby obcałować w ramach podziękowań. Chłopczyk przerwał kolekcjonowanie figurek i też dołączył się do grupowego uścisku. Klacz odetchnęła z ulgą i rozpogodziła się na myśl, że czeka ich teraz kawał nocy spędzony na wspólnej zabawie.

*

8 kwietnia 1272

Niebo nad Fillydelphią

Po północy

– Patrzcie! – krzyknął nagle ktoś spoglądający przez okno. – To Fillydelphia!

Pośród jednolitego morza ciemności jaśniała płomienista oaza pożarów. Całe kwartały podzielone ciemniejszymi pasmami alejami pozwalały rozpoznać poszczególne dzielnice. Gdzieś błyskały eksplozje i strzały, stąd będące ledwie iskierkami. Zapewne w mieście musiało być jasno jak w dzień.

I oni tam lecieli. Dokładnie w sam środek piekła. Nocturnal przełknął ciężko ślinę, a jego kopyta same powędrowały do wybrzuszenia na piersi, w którym skrywały się amulety.

Piloci byli pierzastymi pegazami, więc potrzebowali jakiś świetlnych wskaźników, aby dobrze trafić nad strefę zrzutu. Na szczęście powstańcy zgodnie z planem rozpalili ogniska na opanowanych przez siebie terytoriach. Światła układały się w duże i wyraźne krzyże o zbyt równych bokach, aby uznać je za zwykłe pożary.

Według planu mieli właśnie tam lądować. W trakcie ostatecznej rozmowy i planowania akcji, Nocturnal z księżniczką Luną, Tantabusem i przy głosie doradczym Somnambuli długo spierali się, czy lepiej wysłać batalion na bezpieczny teren aby zminimalizować straty i użyć

jako posiłków, czy też od razu rzucić w wir walki, zdobyć port, baterię nabrzeżną i upiec trzy pieczeniu na jednym ogniu.

Tantabus i Nocturnal optowali za agresywną opcją, a obie klacze niechętnie narażałyby życie żołnierzy bardziej, niż to bezwzględnie konieczne. W efekcie przeważał głos korony.

Samoloty nadlatywały dokładnie z zachodu. Zdawało się, że trzymały się wyznaczonego kursu jak promy na uwięzi i wszystko przebiegało zgodnie z planem. Przeczuli, jakąś rychłą katastrofę, ale nie mieli wyboru. Musieli się w nią rzucić bez względu na wszystko. W końcu taka rola spadochroniarza... on zawsze jest okrążony, pozbawiony wsparcia i pakuje się w sam środek piekła. Na pasie startowym czuli się niczym weterani, obrońcy Canterlotu i Kryształowego Imperium, a także doskonale przeszkoleni komandosi. A teraz uświadomili sobie, że jeszcze nie lądowali na terenie okupowanym przez regularne siły wroga. Wcześniej chyba nie grali na tak wysokim poziomie trudności.

Gdyby nie kojący chłód lunarnego pocałunku, który uspokajał nerwy niczym letni prysznic, to zupełnie straciliby wiarę w siebie.

– CZERWONE ŚWIATŁO! – wydarł się Nocturnal i powstał z ławki. Wskazał jaskrawą kontrolkę, która zapaliła się na końcu przedziału w samolocie. – CZERWONE ŚWIATŁO! WSZYSCY ZAPIĄĆ SIĘ!

Cały desant w ślad za dowódcą wyprostował się i sięgnęli skrzydłami do swoich pasów. Rozległa się cała kanonada trzasków, kiedy klamry bezpieczeństwa zakomunikowały o gotowości do wyskoczenia z samolotu. Na ćwiczeniach to wydawało się o wiele prostsze. Odnieśli wrażenie, że godziny spędzone na poligonie nic nie dały. Wszystkie kilogramy ekwipunku wydały się dwukrotnie cięższe, niż wcześniej, a ładownice i chlebaki pomimo pasów jakby swobodnie latały i czepiały się wszystkiego.

Nerwowo patrzyli po sobie, tracąc wyćwiczoną pewność siebie. Odwaga wyciekła z serc jak woda z dziurawego cebrzyka. To nie były ćwiczenia ani nawet walki z kilkoma grupkami dywersantów. To miało być starcie z regularną armią na jej terenie. Walka w okrążeniu. Nie pomagały zapewnienia oficerów na odprawie, że w Canterlocie ich wrogami byli wyćwiczeni, elitarni spadochroniarze, a tutaj jakieś ostatkowe barachło. Raczej spodziewano się hordy wygłodniałych fanatyków. Nedorżniętych watach, niebezpiecznych tak w swym zdzieniu i jak i przez fakt zapędzenia w ślepy róg. Bo skoro ci szaleńcy wciąż się bronili, to musieli być popieprzeni.

Luna... skupiali się na jej błogosławieństwie. Wysilali całą siłę woli, aby poczuć je w sobie. Zapalczywie szukali jej chłodu i spokoju, który jeszcze przed chwilą zdawał się być niewzruszony.

– TEST PASÓW!

Z ulgą usłyszeli kolejną komendę, która zajęła myśli i nie pozwoliła dalej błędzić pośród lęków. Każdy wyuczonym ruchem wsunął kopyto pod uprzęż i spróbował ją rozerwać. Źle zapięte pasy powinny natychmiast ustąpić, lecz na szczęście u nikogo nic takiego się nie stało. Długie wieczory spędzane na stukrotnie powtarzanym zakładaniu i zdejmowaniu rynsztunku nie okazały się tak całkiem zmarnowane.

– OTWIERAM DRZWI!

Chwycił za klamkę, a wiatr z wizgiem wdarł się do środka, ciągnąc i rwąc grzywy z ogonami. Kto źle zaczesał włosy i te mu nagle wlażyły do oczu, miał ostatnie sekundy na poprawki.

Nocturnal spojrzał na swoją drużynę, która przerażona szukała inspiracji w jego oczach. Nietokuce dobrze widziały w mroku kabiny desantowej, lecz i tak zapalono pod ławkami małe światełka, które miały pomóc szukać zagubionych drobiazgów. Rzucały one nieco kuriozalne cienie na twarze młodych kucyków, które urodziły się potworami i miały w Fillydelphii zakończyć najbardziej potworną przygodę swego gatunku.

To w opór presji.

Cholera! Przecież takie pułapy nie są naturalne dla nietokuców! Pierzaste pegazy może i lubiły taką pustkę, ale dzieci nocy nie przepadały za wznoszeniem się ponad korony drzew! A tutaj było czterysta metrów!

– ZIELONE ŚWIATŁO! ZIELONE ŚWIATŁO! WYSKAKIWAĆ!

Nie trzeba było ich zachęcać. Pomimo wysokości skok w atramentowe, gościnnie zimne głębiny nocy wydawał się nieskończenie przyjemniejszy od siedzenia w ciasnej, zamkniętej kabinie. Skakali w równych odstępach, najpierw spadając jak kamień w dół, aby nabrać rozpędu, a potem rozwijali skrzydła i ześlizgiwali się do bardziej kontrolowanego lotu.

DALEJ! DALEJ! NASTĘPNY! – wrzeszczał Nocturnal chyba bardziej dodając animuszu sobie niż im. Oni i tak jak dobrze naoliwione mechanizmy równymi tiptopkami dreptali do drzwi, zapierali się przednimi kopytami na progu, a wtedy oficer dawał im solidnego kopa w zad. Odbijali się od krawędzi i wystrzelili w przestrzeń.

– DALEJ! JEDZIESZ! DALEJ!

Trzynaście , czternaście... – liczył Nocturnal. Przedostatni żołnierz ciągnął za sobą zasobnik z bronią, który wpierw wypchnął przed sobą, a potem sam dał nura w toń nocy.

Piętnaście... wszyscy! Teraz ja!

Bez zwlekania odbił się od krawędzi i już był w powietrzu. Nurkował, rozkoszując się wspaniałą ciemnością, która otaczała go zewsząd jak troskliwe objęcia Pani Nocy. Był w swoim żywiole. Podmuch powietrza zdarł z niego strach, niepewność i rozterki. Był teraz w akcji, w trybie bojowym i nic już nie mogło go powstrzymać. Wyszczерzył kły, a pęd natychmiast wdarł mu się pomiędzy wargi i przedmuchał orzeźwiająco chrapy i nozdrza. Rozwinął skrzydła, wchodząc w lot ślizgowy i zyskując kontrolę nad spadaniem. Dokładnie zlustrował równy szyk swojej drużyny.

Wtedy właśnie coś poszło nie tak i zaczęła się apokalipsa.

Włączył się z tuzin reflektorów, które od razu były ustawione zaskakująco dokładnie. Szybko wychwyciły desantujące spadochroniarzy ciotki Ju i złapały je w sidłach światła. Skaczący żołnierze byli oślepiani i z krzykiem próbowali zasłaniać oczy lub nawet skrzydłami, tracąc władzę nad lotem. Wystrzeliły też setki rac i ręcznych rakiet punktowo oświetlających niebo.

Rozległa się kanonada artylerii przeciwlotniczej. Było to szalenie szokujące! W porcie i na lotnisku wystrzeliły w niebo złote promienie, które łapczywie próbowały sięgnąć samolotów. Dlaczego były od razu tak dobrze wstrzelane?! Skąd się tam wzięły?! Przecież miało być bombardowanie! Powstańcy mieli uciszyć artylerię?! Co poszło nie tak?

Nocturnal krzyknął z bólu, kiedy niedaleko niego rozerwała się seria pocisków, a ciśnienie grzmotnęło w jego bębni. Koło uszu ze świstem przeleciały małe odłamki, niszczycielskie niczym rozpalone meteory.

– NA DÓŁ! – krzyknął bardziej do siebie, gdyż w tym huku i tak nikt nie miał prawa go usłyszeć. Nie było mowy o chociażby próbie prowadzenia skutecznego ognia z powietrza. Należało czym prędzej schronić się na ziemi i kontynuować walkę konwencjonalnie, z poziomu gruntu. Miał nadzieję, że nie tylko podoficerowie, ale i wszyscy żołnierze doskonale pamiętali taktykę i będą wiedzieli, jak się zachować.

Wtedy działka przeciwlotnicze zmieniły magazynki i ponowiły ostrzał. Znowu były bardzo blisko. To niemożliwe! Oni nie mogli ich widzieć! Pojedynczych skoczków, małych pegazów w środku nocy! To musiał być pech, zbieg okoliczności!

Zapłonął jeden z Junkersów, najwidoczniej trafiony w bak z paliwem. Strzał musiał być naprawdę niszczycielski, skoro potężny, trzysilnikowy samolot od razu przechylił się i nieodwracalnie podążył ku ziemi. Jednak nie to było najgorsze. Teraz rozświeślał mrok jak gigantyczna pochodnia!

Artyleria zaczęła nie tylko celniej strzelać, ale także odezwała się broń maszynowa próbująca upolować pojedynczych skoczków. Spadochroniarze bezradnie i wbrew zaleceniom bezpieczeństwa starali się jak najszybciej dotrzeć do ziemi, lecz mieli jeszcze całkiem spory dystans. Czemu wszyscy byli tak pewni siebie i kazali skakać z czterystu metrów? Ze stu pięćdziesięciu też dałoby radę zrobić to bezpiecznie! Byli w końcu cholernymi pegazami, dziećmi nocy, a nie ziemniakami na sznurkach lalkarza!

Gruchnęło całkiem blisko Nocturnalą, nieco go ogłuszając. Jakaś wielka energia skumulowana w kilku punktach pchnęła go w powietrze. Skrzydła zapłonęły żywym bólem, jakby wsadził je do wrzątku. Stracił siłę nośną i zaczął spadać, prawdziwie spadać jak kamień. Natychmiast instynktownie pociągnął za linkę spadochronu, modląc się, aby wszystko zadziało. Rozległ się ogłuszający dźwięk z pogranicza huku i szumu, a rozwijający się spadochron złapał ogiera niczym gigantyczna smocza łapa. W porównaniu z szalonym tempem spadania, żołnierzowi wydało się, że zawisł w powietrze. Przeklinając z bólu patrzył, czy jakaś zbłąkana seria się do niego nie zbliża.

Przecież były testy... testowaliśmy to! Na trafienie spadochroniarza trzeba zużyć szalone ilości amunicji! Tak wielkie, że to się nie opłaca! Oni nie mogą tyle mieć. Nie mogą!

– KURWA MAC! – ryknął w panice, kiedy złoty promień z cekaemu niemalże go dotknął. Był to chyba jednak przypadek, gdyż nikt nie poprawił serii.

Wszystko miał obolałe. Cały grzbiet promieniował cierpieniem, łopatki chciały się odkleić od ciała i odpaść, a w kończy ktoś powsadzał rozżarzone pręty zamiast kości. Czuł, że traci poczytalność i coraz gorzej widzi. Chciał obejrzeć swoje skrzydła, ale nie mógł nimi poruszyć ani dostatecznie wykręcić szyi. Kiedy szamotał się i zagryzał wargi z bólu, nie zauważył, że ku niemu z trudem wznoszą się dwa pegazy. Oczy też płonęły i kiedy ich spostrzegł, to nie potrafił za bardzo rozpoznać.

– Pomocy! POMOCY! SANITARIUSZ! – zaczął wrzeszczeć. Wtedy oni podnieśli coś do oczu i zaczęły strzelać. Długie, ultraszybkie serie. Pepeszki! Nocturnal wrzasnął i podniósł własną broń do oczu, uwalniając ją z upręży. Wystrzelił w ich kierunku krótkie, precyzyjne serie, przeklinając silny wiatr. Musiał ich jednak przestraszyć, gdyż złożyli skrzydła i zanurkowali gwałtownie, znikając mu z pola widzenia. Wytrzeszczył oczy, lecz nie mógł ich

nigdzie dojrzeć. Wtedy na dole coś rozbłysło, a jego kopyto przeszło najsilniejszy ból, jakiego doświadczył w życiu. Wrzasnął i wypuścił Sturmgewehra.

– NIE!

Był już nisko. Wrzeszcząc i próbując zatamować krwawienie patrzył biernie, jak karabinek uderza o ziemię i roztrzaskuje się na części pierwsze.

A on sam nieuchronnie zmierza w kierunku drzewa. Jedyne drzewo na jedynym podwórku na tym kwartale. Dookoła było mnóstwo dachów i płaskich odcinków ulic, ale musiał wbić się w to drzewo!

Zamknął oczy i zasłonił ranne kopyto zdrowym. Podkurczył nogi. A potem wpadł na kłujące gałęzie, które powbijały mu się we wszystkie otwory ciała. Chciał krzyczeć, ale wtedy smagnął go jakiś konar, uderzył głową o pień i odbił się od niego, wpadając na kolejne. Chyba coś ruszało mu się w zębach.

Nagle wszystko się skończyło, a on zawisł z gałęzi, teraz już całkowicie przypominając marionetkę. Jednak wciąż myślał przytomnie. Do ziemi miał ledwie parę metrów... to nie jest dużo dla pegaza... a wystarczyło się odpiąć i wylądować tak, aby nie roztrzaskać sobie rannego grzbietu i nie uszkodzić jeszcze bardziej nogi. Skupił się, obliczył wszystko w myślach i sięgnął do wajchy.

Której nie było.

– CO DO...

Musiał nią o coś zahaczyć! Albo odłamek mu odwalił kawałek uprząży! Albo złamała się przy lądowaniu! Albo...

Nie mógł dostać się do ekwipunku! Nie mógł uwolnić się od spadochronu! Zaraz go tu znajdą! I zarzną jak w Harasshorsk!

Rznąć!

Nóż!

Sięgnął zdrową nogą do jedynego łatwo dostępnego sprzętu, który miał przy sobie. Wyciągnął krótki nóż służący do ostatecznych rozwiązań. Zaczął przecinać szelki obok ich splotu.

– AU!

Nagle jego ciało przeszedł ból wszystkich rannych miejsc, a ostrze wypadło mu z kopyt i spadło niedaleko rozwalonego karabinka.

– NIE! NIE WIERZĘ! LUNO, RATUJ SWEGO SYNA!

Wytrzeszczył oczy. Gdyby był jednorożcem, to nie miałby żadnych problemów! Mógłby magią otworzyć kłamrę, podnieść nóż albo nawet wspomagać sterowanie spadochronem. Zawsze uważał magię za najbardziej fascynujące zjawisko świata. Cemu go teraz zdradziła? Cemu był sam?! Cemu?! Tu nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc? Gdzie była jego drużyna, jego sojusznicy, jego siostry, jego księżniczka? Opiekunka i protektorka? Nie widział jej, a zaczynał się dusić! Bezradnie zdychał, nie pojmując tego i nie mając nic do obrony! A on, głupiec, obawiał się, że największym złem, jakie może go spotkać, to przebudzenie wampirycznego głodu! Tak, zgodziłby się zostać prawdziwym wampirem, byleby tylko uwolnić od tego spadochronu!

– Wąpierz! WĄPIERZ!

Uniósł wzrok i ujrzał trzech czerwonoarmistów, którzy celowali w niego z Mosinów. Dwa kucyki ziemskie i pegaz. Przed oczami stanęły mu nieszczęsne, zbezczeszczone zwłoki Starfall, o których opowiadała sierżant Applejack.

Na chwilę stracił oddech.

Dostrzegł, że jeden z żołnierzy wciąż trzyma go na muszce, a drugi wyciąga z pochwy długi bagnet. Rozwinął skrzydła i podleciał ostrożnie w górę, starając się nie zasłaniać linii ognia kompanowi, ale też nie spuszczał z oczu Nocturnal, a szczególnie jego kabury z pistoletem. I tak nie byłoby jak z niej skorzystać. Nietokuc nie dałby rady po kryjomu wyplątać pistoletu z uprzęży, która ciasno przyciskała ją do ciała.

Pegaz podleciał z tyłu i znikł z pola widzenia. Nocturnalowi zrobiło się zimno, nawet przestał czuć jakikolwiek ból. Przestał czuć cokolwiek! Do czasu, aż zimne ostrze nie dotknęło jego szyi.

Zobaczył, że dotychczas celujący spokojnie trzeci przeciwnik wziął z ziemi strzaskane krzesło i wyłamał z niego jedną nogę.

Nie czekali, aż ją zaostrzy.

*

Nie czuł bólu, lecz chyba miał zranione skrzydło. Spadał o wiele za szybko i nie potrafił odzyskać kontroli nad lotem. Dlatego pomny instrukcji bezpieczeństwa, otworzył spadochron i spokojnie zszedł na najbliższy dach. Klamra i uprząż zadziałały idealnie, więc wystarczył jeden ruch kopytem, się uwolnić od wielkiej, nylonowej czaszy, a potem móc rozejrzeć po okolicy.

A przynajmniej taki był plan. Stanął na jakiejś luźnej dachówce i zsunął się na sam dół. Spadł dwa piętra i tylko jakimś cudem poranione skrzydła na tyle go spowolniły, że niczego sobie złamał. Upadł jednak na karabin, któremu pękła kolba. Niestety, ale w Sturmgewehrach sprężyna napinająca iglicę kończyła się właśnie w tak newralgicznym punkcie, więc broń przestała być użyteczna.

Omega zasyczał, przeklinając własną głupotę. Zamiast broni bocznej wziął dodatkową ładownicę z magazynkami do karabinka. Nic to, odgarnął szatynową grzywę i wyciągnął nóż. Chwycił go w zęby i teraz mógł zlustrować okolicę.

Dookoła było pełno żołnierzy nieprzyjaciela, ale nic dziwnego, że go nie słyszeli. Pośrodku dużego podwórka stało spore automatyczne działo przeciwlotnicze, które wypływało całe tony stali w przestrzeń. Artylerzyści i działonowi uwijali się dookoła, pakując w nie kolejne porcje naboju. Byli tym tak zajęci, że nie patrzyli w kąt placu, gdzie właśnie na ziemi przyczał się drapieznik.

Omega ponownie zasyczał i trzymając się nisko podszedł bliżej, chcąc dokładnie ocenić swoje szanse. Skrzydła płonęły żywym ogniem i rozwinięcie ich nie wchodziło w grę. Wrogowie z kolei trzymali się w grupie, więc nie należało spodziewać się dogodnych okazji do ataku. Choć z drugiej strony było ich ledwie ośmiu...

I nagle pojawiła się okazja! Jak w filmie, jak w komiksie lub podręczniku akcji skrytobójczej.

Jeden z ładowniczych oddalił się od reszty i skrył w kącie, przykucając. Omega pomyślał, że to szczyt chamstwa i nie należało tego zostawić bez odpowiedzi. Przyczajony podpełzał dwa metry tuż za plecami Sombryjczyka. Nie mógł ani się wyprostować ani zbyt długo bawić, gdyż rozświetlone wystrzałami podwórko nie było w stanie go kryć.

Należało zrobić to teraz!

Skok!

Błysk noża

I Sombryjczyk zwiotczał, wpadając w kałużę własnej uryny, która właśnie stawiała się czerwona. Omega nie poczuł satysfakcji, dopiero teraz sobie uświadamiając, że jakby to inaczej rozegrał, to może zdobyłby niezakrwawiony mundur.

– Dworcow? Co z tobą? – zawołał ktoś podchodząc. Nietokuc skrył się w mrocznej niszy okienka piwnicznego. Nieostrożna ofiara podeszła bliżej. Miała kaburę z pistoletem. Bardzo dobrze!

Omega wyskoczył na niego, chcąc zabić jednym, zaskakującym cięciem. Jednak nie trafił. Działonowy wykręcił się unikając ostrza, lecz sama masa nietokuca go przewaliła. Krzyknął, a wtedy spadochroniarz poprawił i wbił mu nóż prosto w serce.

– Co jest? Snajper? – krzyknął ktoś od strony dział, niepewny jak interpretować ostrzeżenie. Dział dalej strzelało, więc ciężko było się przebić. Omega czym prędzej wyjął tetetkę z kabury pokonanego wroga i schował się za stygącym ciałem.

– Dworcow? Kilin? Halo? – dalej dobiegały krzyki.

Omega odruchowo zasyczał, obnażając kły, które zabłyszczały złowrogo w ciemnościach.

– WAMPIR! – rozległ się krzyk. Za późno na dyskrecję! Spadochroniarz wycelował i wystrzelił w stronę nieprzyjaciela, trafiając go między oczy. Opróżnił cały magazynek, zmuszając wrogów do pochowania się i kładąc przynajmniej kolejnych dwóch. W ciało przed nim trafił pocisk karabinowy rozrywając tkanę w fontannie krwi. Omega przepętał do następnej osłony będącej małym murkiem dookoła ściętego drzewa. Próbowali się w niego wstrzelić, więc podniósł się i koziołkując przeturlał za murowany śmietnik. Tutaj było dwóch Sombryjczyków z bagnetami nasadzonymi na Mosiny. Sycząc Omega rzucił się na pierwszego, w locie omijając sztych i obejmując chwytem swego przeciwnika. Zdzielił go kopniakiem, wyrwał karabin i nie mając czasu na obrócenie lufy i nabicia wroga na bagnet, walnął na go odlew w głowę. Sombryjczyk zwiotczał i wtedy Omega mógł przekłuć mu serce.

Drugi wróg natarł w tym samym momencie, lecz znowu okazał się za wolny wobec wytrenowanego drapieżnika. Nie mając dość miejsca na korektę pozycji, Omega zaparł się na wbitym w ciało karabinie i odbił od niego, niczym w trakcie skoku o tyczce. Kopnął

Sombryjczyka w głowę i wylądował na nim. Bez przerwy sycząc i obnażając jak najmocniej kły wyciągnął z powrotem nóż spadochroniarski i perfekcyjnym cięciem rozplątał gardło.

Wtedy jego ciało przeszła kula, a ogier padł na grzbiet, wciąż szczerząc kły, w zamarłym wyrazie syczących ust wampira.

*

– Epitaphy! Ucieka ci!

Klacz o kobaltowej grzywie szybko poprawiła chwyt, aby nie wypuścić z kopyt zasobnika na spadochronie. Była tak oszołomiona strzałami i rozbłyskami dookoła, że niemalże nic nie widziała i nie słyszała. Gdyby nie kopnięcie osłaniającej ją koleżanki, nie zauważyłaby, że zasobnik próbuje się wydostać i odlecieć w innym kierunku.

Do ziemi było już blisko i obie klacze wkrótce wylądowały bezpiecznie na środku zawalonego budynku. Poszycie dachu osiadło na mniej więcej równym poziomie, tworząc coś w rodzaju zaskakująco stabilnej rampy.

Natychmiast kopnęły zasobnik do najbliższej dziury i same schowały się obok, aby mieć chwilę na ocenę sytuacji.

Dookoła znajdowały się popalone kamienice, w których gdzieś wciąż hajcowały się ogniska. Nie dało się dostrzec żadnego przeciwnika, lecz zniekształcone okrzyki zza wpół zawalonej ściany świadczyły, że obok działa się jakaś akcja. Epitaphy wymieniła spojrzenia z Accu i obie odleciały w górę, aby wyrzeć zza muru.

Obok była wąska miejska uliczka, którą szedł cały pluton sombryjskiej piechoty. Jakieś dwadzieścia kucyków, wszystkie uzbrojone. Przez okna zaglądali do wymarłych domów i to była tylko kwesta czasu, że natrafią na zasobnik. Istniała szansa, że nie dostrzegą go w cieniu, ale nikła. Musieli kierować się tutaj widząc spadochron.

Nie było czasu na skomplikowane plany. Obie klacze wzięły granaty, odkręciły zaślepki i wyjęły zawlecзки. Przez chwilę gotowały ładunki, odliczając w myślach „dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa” i wtedy rzuciły do celu.

Eksplodzie i krzyki świadczyły, że trafiły. Wzbiło się trochę kurzu. Nie miały naiwnej nadziei, że te dwa granaty rozwiążą sprawę, raczej chodziło o wzbudzenie odrobiny chaosu.

Zaczęły pruć ze Sturmgewehrów. Pierwsze serie były celne i przetrzebiły oddział wroga, lecz ten szybko rozproszył się wzdłuż ruin, znikając w pustych oknach. Zza osłon mógł sam odpowiedzieć ogniem. Wtedy obie kłaczki same się schowały i pod osłoną cieni zmieniły stanowiska. W kiepsko oświetlonych przez pożary zgłiszczach widziały doskonale, więc bez trudu znalazły podpiwniczenie, z którego dobrze widziały kilku przeciwników bez ich wiedzy. Ci wciąż ostrzeliwali miejsce, gdzie od dobrej minuty nikogo nie było. Nawet zmarnowali na to parę granatów.

Krótkimi seriami zaczęły wybierać kolejne cele, aż opróżniły magazynki. W trakcie szybkiej zmiany mogły się przekonać, że nowa pozycja bojowa wciąż była nieznana przeciwnikowi, który strzelał na oślep. Mimo to przesunęły się o jeden rząd okien, skąd widok był niby trochę gorszy, ale gdzie Sombryjczykom też będzie trudniej tutaj trafić.

Kiedy wystrzelały po jeszcze jednym magazynku, przeciwnik odpuścił i się wycofał, na przełaj przez zwalone ściany i podwórka. Zapewne pomyślał, że trafił na całą drużynę Maremachtu, a nie dwie kłaczki z połową amunicji.

Niedaleko od nich wystrzeliła w niebo niebieska rakieta. Znak, że dowódca znalazł bezpieczne miejsce na zbiórkę. Upewniwszy się, że okolica była czysta, wróciły do zasobnika i ciągnąc go za sobą na kółkach popędziły w kierunku, w którym spodziewały się znaleźć majora Nocturnala.

– Osiem! – Epitaphy wykrzyknęła hasło swym mezzosopranem.

– Siedem! – odkrzyknięto odzew. Kłaczki szybko upewniły się, że obie liczby na pewno dają umówioną piętnastkę i kontynuowała marsz.

Po chwili dotarły i zameldowały się Tantabusowi, który w przekrzywionym hełmie zalanym krwią i z urwanym paskiem pod brodą wyglądał bardzo typowo jak na siebie. Ucieszył się widząc jeszcze dwójkę spadochroniarzy i to z zasobnikiem, ale nie rozwiązało to wszystkich trapiących go wątpliwości.

Ciągle brakowało aż ośmiu skoczków i to wliczając znalezionych zabitych. Pesymiści podejrzewali najgorsze, lecz realiści przypominali im, że w chaosie ruin i ostrzału mogli po prostu się zagubić lub czekać na pomoc.

Najgorsze, że z powodu ostrzału przeciwniczego zupełnie rozsypały się szyki i utraciono impet uderzenia. Niektórzy spadochroniarze wylądowali na terytorium wroga i zamiast

zaatakować zostali zmuszeni do szukania kryjówek. Już pierwsze minuty walki ukazały wyższość ich sprzętu i wyszkolenia, lecz nie mogło być mowy o jakimś zorganizowanym szturmie na wyznaczone cele. Raczej ratowali życie własne, niż cudze.

Tantabus już na wstępie zgromadził wokół siebie aż dwudziestu skoczków i udało mu się spotkać z wysuniętym posterunkiem powstańców. Tak silna grupa zdołała zająć i zabezpieczyć cały kwartał, w którym spodziewano się znaleźć zrzuty. Jako najstarszy stopniem nakazał swoim spadochroniarzom bronić sektora, a wraz z powstańcami dobrze obeznanymi z terenem, rozpoczął gruntowne przeszukanie kwartału. Niestety, ale pomimo straconej godziny, nie znaleziono niczego, nawet żadnych zwłok. Wbrew pozorom, nie było to pocieszające, gdyż wciąż nie dało się wyjaśnić ich losu.

– Poruczniku! Tam ktoś jest! – zameldował jeden ze strzelców i wskazał sąsiednie podwórko. Granat artyleryjski zerwał górne piętro przeciwległej kamienicy i odsłonił duże drzewo stojące na tyłach, tuż obok oficyny. Definitywnie zwiślał z niego spadochron, a na nim kiwała się sylwetka nieprzytomnego kucyka.

– Lecimy tam! Zbierz ośmiu i za minutę zbiórka. Tutaj!

Ze względu na pożary nietokuce straciły część swojej przewagi w widzeniu w ciemnościach. Na szczęście artyleria przeciwlotnicza umilkła i zgasły race, gdyż cała flota już dawno temu odleciała. Mimo to spadochroniarze mieli szczęście i przelatując z okna do zrujnowanej kamienicy nie natrafili na opór. Przegrupowali się w salonie mieszkania, ustawili ostrożnie w oknach, a potem schodami zeszli na poziom gruntu. Wypatrywali zagrożenia w każdym oknie, na każdym dachu, ale mieli nadzieję, że wysokie mury domów osłonią ich przed ostrzałem z zewnątrz. Natomiast sam kwartał zdawał się być wymarły.

– Czysto! – zameldował Tantabusowi jeden ze strzelców. Porucznik dość kiepsko widział w mroku, jak na nietokuca, więc wołał dopytywać lepszych od siebie:

– Jak wygląda ten spadochron?

– Jest mocno poszarpany i zdaje się zaraz spaść. Zwisa z niego ciało, chyba martwe. Pod nim leży hełm i broń.

– Cholera, pewnie skręcił kark! – zaklął Tantabus. – Dobra, skoro jest czysto, to odcinamy go. Kurna, zostało jeszcze siedmiu...

Wyznaczony do tego zadania nietokuc ostrożnie wyszedł z klatki schodowej i unosząc się tuż nad ziemią oraz trzymając broń przy oku, zbliżył się do drzewa. Jeszcze raz upewnił się,

że jest bezpieczny, po czym odłożył karabin i wyciągnął nóż. Podleciał w górę, aby przeciąć sznurki. Wtedy spojrzał trupowi w twarz.

– LUNO! LUNO! KURWA, LUNO!

Wszyscy odwrócili się w jego stronę i teraz zrozumieli, że leżący na ziemi hełm jest razem z zawartością. Zapanowała konsternacja i przez oddział przetoczyła się fala przekleństw, którą uciszył Tantabus. Wskazał kolejne dwie osoby, nakazał zebrać razem wszystko należące do spadochroniarza, a potem wysłał kogoś po powstańców, aby zabezpieczyli kwartał. Potem mógł osobiście wylecieć na zewnątrz wysadzonego mieszkania i przyjrzeć się poległemu.

Jego głowa została topornie odcięta, a resztki karku poszatковано jakimś okropnie tępym narzędziem. Musiało to stać się dosłownie kwadrans temu, gdyż krew wciąż wypływała z ran, w które obfitowała twarz i szyja. Niektóre zrobiono nożem, ale inne były zbyt wielkie. Porozcinano też uprząż spadochroniarską, a także przeszukano denata. Zabrano mu pistolet, granaty i magazynki. Porozrywany na piersi mundur świadczył o pospiesznym i dzikim szabrze rzeczy osobistych. Twarz została również oszpecona i cała pocięta nożem, przez co nie dało się jej rozpoznać. Ktoś wybił nietokucowi kły, a także zmiażdżył szczękę, jakby chcąc upewnić się, że nikogo nie pogryzie. Wywalony na zewnątrz język stał się krwawym strzępem, a oczodoły czym prędzej zakryto, aby nie musieć patrzeć na ich stan. Jednak najdziwniejsza wydawała się wielka noga od krzesła, którą ktoś pospiesznie zaostriżył i wbił krzywo wbił nietoperzowi w serce. Nie potrafili tego zrozumieć, gdyż definitywnie musiano tego dokonać już po śmierci i na pewno było to niełatwe w powietrzu.

Oficer wdepnął w coś brzęczącego. Pochylił głowę i znalazł mały, niezbyt drogocenny kolczyk w kształcie nutki, a także trzy pukle włosów, brudne i jednolicie bure. Na wszelki wypadek schował to do kieszeni, aby w razie czego odesłać rodzinie.

– Gdzie on ma pagony? – zapytał.

– Zakosili chyba... jako pierdolone trofeum!

– Znalazłeś jego nieśmiertelnik?

– Nie, panie poruczniku. Chyba go też zabrali.

– Czarna krew! Kurewscy szabrownicy! Dobra, tnij mundur! Zobaczmy jego znaczek.

Wystarczyły trzy ruchy, aby odkryć bok poległego. Widniała na nim półotwarta, brązowa książka w czerwonej okładce.

– A to sukinsyny... a to skurwiele... – szepnął tylko Tantabus i wbił wzrok w obrazek. Patrzył tak dobre piętnaście sekund, potem zlustrował kołek, odciętą głowę i wybite kły, których również brakowało. Przykucnął przy zwłokach i sam zaczął przeszukiwać wewnętrzne kieszenie, aż znalazł tam książeczkę wojskową. Rozwiąła ona jego ostatnie wątpliwości i... resztki nadziei.

*

– Słyszałem o wbijaniu osikowych kołków w serca wampirów – przyznał Tantabus. – każdy nietokuc ma w końcu ogona wszystkie legendy i mity którego go dotyczą. Ale to jest przegięcie! Ujrzenie tego na własne oczy to najgorsze, co mógłby zobaczyć żołnierz! Jesteśmy szkoleni. Mamy być niewrażliwi na śmierć i rany i zachować zimną krew nawet wobec gorszych rzeczy. Jednak to jest zabieg... rytuał... magiczny?

– Technicznie to nie jest magia, a jedynie zabobon, a więc przypisywanie magicznych cech neutralnym czynnościom – odpowiedział dyktator powstania w trakcie wizytacji zebranych zrzutów. Prawie wszystkie zasobniki zostały zabezpieczone i zinwentaryzowane. Można było w każdej chwili przejść do redystrybucji broni i amunicji.

– Możliwe, panie majorze. Moi żołnierze przeżyli trudne chwile w trakcie samego lądowania, lecz byli na to gotowi. Brutalna walka to coś, na co czekaliśmy. Ale...

– Tak sądziłem, że ta nietokucowa niewrażliwość na przykre rzeczy to legenda – przerwał mu major. – Doświadczenie bojowe to najlepsza ochrona psychiki przed okrucieństwem starcia.

– Chyba nie rozumiem – oświadczył zaskoczony zmianą tematu Tantabus, lecz major uciał to machnięciem ogona.

– Mniejsza! Proszę meldować.

– Sto procent oddziału wylądowało na terenie Śródmieścia. Straty wyniosły dwunastu skoczków i jeden zasobnik, w tym zginął dowódca oddziału, major Nocturnal Eye. Mamy trzech ciężko rannych i ośmiu lekko, zdolnych do dalszej walki. Ponieważ straty przekroczyły piętnaście, a nawet dwadzieścia procent, mamy rozkaz zastosować się do ograniczenia „E”, odwołującego z listy celów samodzielny szturm na baterię Sapphire. Nasze cele są ujęte jako pakiety „A” i „B”, a więc wsparcia oddziałów walczącego miasta i przygotowania gruntu do przybycia liniowych oddziałów Maremachtu.

– Kiedy możemy się tego spodziewać?

– W ciągu tygodnia, maksymalnie dwóch.

– Do tego czasu umrzemy z głodu! – Hedgehog walnął kopytem w ziemię i natychmiast się zreflektował. – Przepraszam. Oczywiście, że wytrzymamy. Musimy połączyć się ze Starówką i zobaczyć, jak im poszło.

[1] „Czołem panie majorze!”.